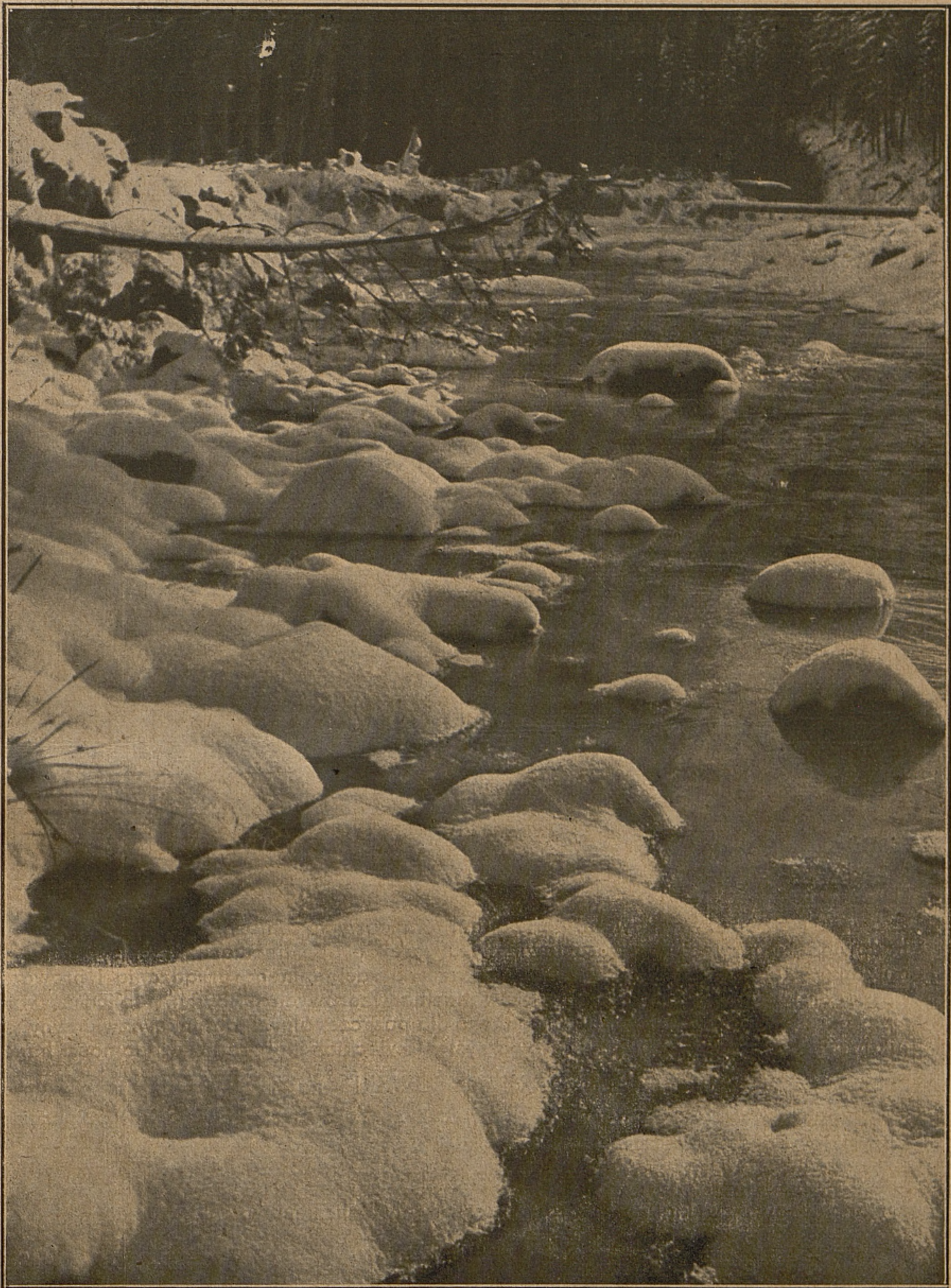
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Ponowa w górach. Z serji, nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łow. Pol.". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 35 (847) 10 GRUDNIA 1936 R.



Podczas rykowiska w Karpatach. Ósmak i łania. Z serji, nagrodzonej IV nagrodą na konkursie fotograficznym „Łow. Pol.". Fot. J. ks. Jabłonowski.

MUSIMY TO SOBIE POWIEDZIEĆ.

Tak się jakoś złożyło, że od 1932 r. pisałem wiele, bardzo nawet dużo na łamach „Łowca Polskiego" w tak zwanych sprawach ogólnych.

Poruszałem najrozmaitsze bolączki naszego łowiectwa: od potrzeby właściwego, z jednakową siłą na obszarze całego kraju zwalczania kłusownictwa, poprzez niedomagania ustroju organizacyjnego stowarzyszeń myśliwskich i częstokroć niedość „klubowego" ustosunkowania się do nich własnych członków, wstępujących i wychodzących jak przez kręcące się w kółko drzwi niepierwszorzędnego baru (z tą różnicą, że w jadłodajni trzeba zawsze uregulować przedtem rachunek), aż do wytykania ospałości Delegatom Powiatowym (przyjmującym swe mandaty dobrowolnie), a również bierności i przywar ogółowi społeczeństwa myśliwskiego — w odniesieniu do teraźniejszości i przyszłości naszego łowiectwa. Ba, pozwalałem sobie na nagłe wnioski pod adresem Związku, które... umierały tam, gdzie się rodziły: na łamach organu związkowego...

Krytykowałem, wołałem, przekonywałem, prosiłem, groziłem, wstydziłem wszystkie warstwy, stany i.. stopnie służbowe.

Toteż nie jestem popularny — o, nie!

Nie przychodziły (albo przychodziły nadzwyczaj rzadko) listy, kierowane do Redakcji, podnoszące, że moja działalność piśmiennicza, lub jej poszczególny fragment, zyskuje szerszy aplauz, a choćby aprobatę myśliwych.

Bóg mi świadkiem, że nie przypominam tego dla próżnego samochwalstwa, ani z żalu, ani też (co chyba jeszcze prawdziwszem wyda się czytelnikom) dla poruszenia opinji znowu... przeciwko samemu sobie.

Przypominam o tem dla czegoś zupełnie innego. Dlatego, że obok takiego charakteru mego słowa pisanego, jak to sam wyznaję — niejednokrotnie mocno podkreślałem dobre przejawy, obudzone sumienie myśliwskie, przykładową działalność, energję czynu, inicjatywę i zrozumienie sprawy. Cytowałem nazwiska...

A więc — legitymuję się: nie byłem wiecznym malkontentem.

Uczucie, wywołane pozyskaniem dla swej idei każdego, choćby narazie odosobnionego sprzymierzeńca, jest zbyt radosne i serdeczne, by tego nie ocenić. A przytem uważam je zawsze za największą nagrodę w ciężkiej doli szerzenia idei o obowiązku współdziałania w rozwoju i podnoszeniu polskiego łowiectwa, które jedynie wskutek naszych własnych przywar i błędów, i z powodu niezrozumienia wartości gospodarczych, z łowiectwa płynących, nie stanęło dotychczas na pierwszem miejscu w Europie, dając się wyprzedzić innym narodom.

Dziś znowu chcę przy sposobności mocno podkreślić nowy akt dobrej woli jednego z dość nielicznych, niestety, sprzymierzeńców łowiectwa pośród Starostów powiatowych.

Swego czasu poddawałem Panom Starostom różne

myśli współdziałania z prawem łowieckiem, będącem ustawą państwową. W szczególności co do zwalczania niesamowicie w Polsce rozpanoszonego kłusownictwa i masowego nielegalnego utrzymywania broni.

Wśród tych „myśli" zwracałem uwagę na bezpośredniość obcowania wójtów i sołtysów z wsią naszą, a więc i z kłusownikami-zawodowcami, uważając za możliwe dopomożenie sprawie przez żądanie od tych samorządowych urzędników tego, by oni pierwsi — przed policją państwową, nie w każdej osadzie, a tem mniej wiosce, stacjonowaną — wykonywali opiekę nad zwierzostanami, jako ogólnem bogactwem kraju w tej dziedzinie, demaskując kłusownictwo i wnykarstwo, a także dopomagając do likwidowania nielegalnie posiadanej broni, będącej w tych warunkach zawsze pomocą kłusownictwu, środkiem załatwiania porachunków osobistych i narzędziem zbrodni.

Myśli te szły w świat: pomiędzy prenumeratorów „Łowca Polskiego", a wśród nich Delegatów Powiatowych Związku i były przesyłane oddzielnie wszystkim Starostom powiatowym.



W głębokim śniegu. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego".
Fot. S. Bebenkowski.

Plon, o którym dowiadywał się Związek, jako naczelna organizacja łowiectwa w kraju, okazał się dotychczas bardzo niewielkim, niemniej jednak był, stwierdzając, że ani myśli te, ani ich przypominanie przy każdej okazji nie są pozbawione sensu i słuszności.

Jeśli chodzi o wynik teoretyczny (niepoparty, niestety, statystyką porównawczą ilości przestępstw łowieckich), należy przypomnieć o następujących zarządzeniach Panów Starostów:

1) okólnik Starosty powiatowego Żelisława Januszkiewicza z dnia 15 lutego 1934 r. do wszystkich wójtów i sołtysów powiatu bielsko-podlaskiego („Łowiec Polski" Nr. 17/1934, str. 384);

2) okólnik Starosty powiatowego H. Ostaszewskiego z miesiąca sierpnia 1934 r. do wójtów powiatu kaliskiego („Łowiec Polski Nr. 1/1935, str. 16);

3) okólnik Starosty powiatowego Jana Gadomskiego z miesiąca stycznia 1935 r. do zarządców gminnych w powiecie i do p. komendanta powiatowego policji państwowej w powiecie mińsko-mazowieckim („Łowiec Polski" Nr. 5/1935, str. 93);

4) okólnik Starosty powiatowego H. Ostaszewskiego z dnia 2 listopada 1936 r. do wójtów gmin wiejskich na obszarze powiatu kaliskiego — i tegoż Starosty „obwieszczenie", rozesłane do gmin i sołectw powiatu (przedrukowane w niniejszym numerze „Łowca Polskiego", str. 685).

Realną zdobyczą tych okólników byłoby sprawozdanie z ilości skonfiskowanej nielegalnie posiadanej broni, o wykryciu i ukaraniu pewnej liczby kłusowników i wnykarzy, wreszcie o zmniejszeniu się przestępstw tego rodzaju na terenie danych powiatów.

Niewątpliwie dane te Związek otrzyma w stosownym czasie, ale już dziś można być pewnym, że zarządzenia tego rodzaju będą musiały mieć ogromny wpływ na zwalczanie kłusownictwa, a obok tego — zbrodniczości.

Taką realną, już ujawnioną i ogłoszoną na łamach „Łowca Polskiego" zdobyczą była np. akcja przeprowadzonych na terenie powiatu wieluńskiego rewizyj, podczas których w kilku zaledwie wioskach skonfiskowano kilkaset sztuk nielegalnie posiadanej broni („Łowiec Polski" Nr. 13/1935, str. 245, art. „Kłusownictwo a zbrodnia").

Podobną akcję przeprowadził Starosta powiatu sochaczewskiego, odnosząc bogate wyniki: zdemaskowania i ukarania 47 zawodowych kłusowników.

Być może, że w wielu razach o celowej akcji Panów Starostów, lub o mocno i zdecydowanie prowadzonej walce z kłusownictwem, do Związku żadne wiadomości nie dochodzą, skłonny jestem jednak sądzić, że o walnych bitwach, lub choćby o planach strategicznych w postaci wyżej wymienionych zarządzeń, wieści dochodzą szybko i dokładnie.

Niepodobna lekceważyć wartości takich usiłowań, ani nie wolno wątpić w ich wyniki, gdyż w danym wypadku czynnikiem reagującym na zło jest wyposażona w najlepsze środki techniczne władza państwowa, przedstawiająca siłę moralną i fizyczną tego państwa.

Naodwrót jednak niepodobna od najlepszych administratorów regjonalnych żądać, by wśród nawału spraw, składających się na wykonanie ich urzędowego, państwowego obowiązku, wybrać mieli sprawy łowiectwa jako najważniejsze i zająć się niemi przed wszystkiemi innemi.

Natomiast można i trzeba wymagać od przedstawicieli zorganizowanego łowiectwa, aby wszelkiemi siłami utrzymywali stały i najściślejszy kontakt z władzami administracyjnemi, aby potrafili właściwie bolączki łowiectwa oświetlić i projekty akcji współdziałającej ich zwalczaniu przedstawić, o potrzebie zastosowania jakiejś planowej akcji przekonać, a opierając się na ustawie, w sposób taktowny i usprawiedliwiony nawet tego żądać.

Dopiero w tem oświetleniu obowiązku przedstawicieli zorganizowanego łowiectwa nabiera doniosłej wagi okólnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Rolnictwa i R. R., wydany do wszystkich Panów Wojewodów i Starostów, a zalecający współpracę tych przedstawicieli władzy administracyjnej z organami Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich („Łowiec Polski" z dnia 1 września 1936 r. Nr. 25, str. 490). Okólnik ten staje się w powyższem ujęciu nietylko otwartą bramą dla realizowania wielu postulatów i regulowania licznych lokalnych zagadnień łowieckich, lecz także najbardziej żywotnym atutem do usuwania najboleśniejszych ciosów i ran, dotychczas łowiectwu zadawanych.

Panowie Delegaci Powiatowi Związku! Jakkolwiek trudno mi pogodzić się z dotychczasowem twierdzeniem wielu, że ich bezradność w pracy dla dobra łowiectwa leży w niefortunnych warunkach miejscowych i w lekceważeniu spraw łowieckich (wszakże ustawami państwa warowanych) przez „czynniki miarodajne", a nie w Waszej bierności dzierżenia mandatów, to jednak — na szczęście — i to usprawiedliwienie przestaje być realnem.

Dziś stoimy wobec okólnika centralnych władz państwowych, który zaleca swym przedstawicielom

regjonalnym właściwe spełnianie ich obowiązków i w tej dziedzinie przez współdziałanie z przedstawicielami łowiectwa. Zatem w ręku tych ostatnich leży inicjatywa akcji, jej bieg i powodzenie.

Dziś nikomu z Was nie wolno już więcej niczem się tłomaczyć, ani opuszczać rąk, mówiąc, że jest tak źle właśnie tylko w jego powiecie.

Zło zasadnicze — brak dostępu łowiectwa i jego usprawiedliwionego interesu ideowego lub gospodarczego do czynników państwowych — zostało w dziedzinie Waszej działalności usunięte, zwłaszcza gdy pomagają sprawie przykłady Starostów Ostaszewskich, Januszkiewiczów i t. d.

Idźcie więc tam, dokąd należy, nie skąpcie czasu dla sprawy społecznej, której podjęliście się sami.

Idźcie i róbcie dla idei wielkości łowiectwa polskiego to, co do Was należy i czego oczekują rzesze nieufnych dotychczas do Was i do istniejącej organizacji „dzikich" myśliwych, których zdobywać należy nietylko drogą propagandy słowa, lecz przedewszystkiem dobrego przykładu i — rezultatów pracy.

Idźcie i twórzcie podstawy racjonalnej gospodarki łowieckiej, prawdziwej etyki myśliwskiej i przyszłych owoców rozkwitu łowiectwa.

To zawsze było, a dziś tembardziej jest w Waszej mocy.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

PIERWSZE KROKI

Niezbyt to jeszcze odległe czasy, choć już minione bezpowrotnie, gdy cała Litwa Kowieńska stanowiła jedno rozległe, przepiękne łowisko. Zielona szczecina borów iglastych, nietkniętych naonczas siekierą żydowskiego kupca, ani chciwego okupanta, porastała wzniesienia i pagórki, a niżej, po jarach i dolinach, wznosiły się cieniste, wilgotne lasy liściaste — konglomerat białopiennych brzóz, stuletnich dębów, klonów rozłożystych i dziuplastych osin, pomiędzy które zrzadka zabłąkała się szmaragdowa piramida świerka, czy masztowy słup sosny. Między lasami rozprzestrzeniały się jasne dywany kwiecistych łąk, przeciętych krętemi wstęgami wartkich rzeczułek, nad któremi panoszyły się bujne zarosty młodej olszyny, lub wyciągały miotlaste pęki pędów grube staruchy-wierzby. Zygzaki bystrych ruczajów biegły przez mokradła i bagniska, przerzynały się przez łany pól i zacienione ostępy kniej, by wreszcie wlać się w lazurową misę któregoś z jezior, błyskających niebieskiemi oczyma po całej okolicy.

Od wód tych i lasów płynął rzeźki, chłodny aromat bujnej wegetacji roślinnej, szły wonie mocne i upajające, które przemożną siłą wdzierały się do płuc, dusząc w nich chorobotwórcze zarazki, odświeżając krew, zaostrzając i wysubtelniając do najwyższych granic zmysł powonienia, umiejący rozróżnić w mieszaninie setki zapachów miodową woń rozkwitłych lip, czy ledwie uchwytny aromat dojrzewającego zboża.

Po pięknej tej krainie szczęśliwy myśliwiec litewski buszował „jako szczupak w Niemnie". Wypuściwszy zgraną sforę ogarów, z wypchaną prow,antem torbą przy boku i wierną, wysłużoną strzelbą w dłoni, przebiegał lekką stopą okoliczne lasy, dążąc tam, gdzie prowadziło go melodyjne granie czworonogich towarzyszów. Nie istniała tu odległość, nie istniały granice terenów. Cały powiat był jego niepodzielnem królestwem, a zwierzyna należała do tego, kto ją zdobył, bez różnicy, czy był nim możny pan ze dworu, czy też chłop „ochotnik" z leśnej osady. Prawo własności dotyczyło tylko ziemi i drzewa. zaś grzyby, jagody, zwierzyna lub ryby były bezpańskie. I nie myślało się wówczas o żadnej hodowli, ani prawidłach odstrzału, bo zwierza było wbród, a od ptactwa roiły się wody i mokradła. Jedynie ustawowy czas ochronny ograniczał swobodę myśliwską.

Pięć miesięcy w ciągu roku rozbrzmiewała knieja dźwięczną i melodyjną wrzawą gonu ogarów, ścigających zwierza, od września do lutego grały trąbki i rogi myśliwskie wesołe hejnały, wtórujące echom wystrzałów zarówno precyzyjnych Sauerówek, jak i powiązanych sznurkami chłopskich pistonówek. Ruszony szarak przebywał wielowiorstową trasę, trzymając się uparcie dróżki leśnej, czy też pomykając poprzez zbocza słonecznych, piaszczystych pagórków; chytry mykita, znudzony ujadaniem zażartej psiarni, sznurował wąwozami, brzegiem ruczajów, aż wreszcie doprowadzony do wściekłości — wysuwał się na jakąś polanę lub łączkę i rwał przed siebie, zanim spora garść śrucin, wypluta z poczerniałej lufy, nie ściobnęła go boleśnie po kształtnym łebku, czy wystających żebrach. A czupurny kozioł sarni, wypędzony z zacisznej leszczynowej ostoi, sadził metrowemi susami po duktach i gąszczach, aż musiał wkońcu wypaść na drżącego z emocji nemroda, który słał mu pod łopatkę ołowianą kulę, z trudem własnoręcznie odlaną w palenisku piekarnianego pieca. I gniewał się nań rudobrzuchy Stogłos, a skarżyła piskliwie nerwowa Lutnia, gdy, trzepiąc w agonji cewkami o twardą glebę, przeszkadzał im zlizywać strugę jasnej farby, spływającej po kraśnym, tłusto połyskującym boku.



Słonka. Z serji, nagrodzonej III nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. A. Wiśniewski.

Obok łowów z gończemi, najbardziej rozpowszechnionym rodzajem polowania była buszówka — włóczęga po terenach łowieckich, w towarzystwie wyżła, albo i bez niego. Odziany w stary, obficie wyplamiony tłuszczem i krwią zwierzyny garnitur płócienny, w skórzanych łapciach i słomkowym kapeluszu na głowie, ozdobionym tradycyjną czarną wstążką, myśliwy litewski całemi dniami krążył po kniei, strzelając do wszystkiego, co jakąkolwiek stanowiło wartość łowiecką. Rozmaitość upolowanej zdobyczy była bardzo duża, różnorodność wrażeń jeszcze większa.

W gładko wykoszonych kępach turzycy wydeptał opasłego dubelta, nieco dalej, przy rdzawej kałuży, strącił pięknym strzałem krętolotnego kszyka i zwalił z powietrznej drogi chyżą cyrankę. Lecz mądry wyżeł wiódł go już naprzód, w stronę brzeźniaka, otulającego pieszczotą zielonego listowia wybrzeże rudej powierzchni mszaru. Tu, trzepiąc głośno skrzydłami po obwisłych gałązkach, ukazał się na ułamek sekundy w luce pomiędzy rozdygotanemi wierzchołkami czarny leniak cietrzew, a obok, kwokcząc gderliwie, poleciała cieciorka, drwiąc ze śrucin, obijających niewinne, ząbkowane liście. Przedarłszy się przez gąszcz młodniaków, wynurzył się strzelec na mszysty dywan rojstu. Wciągnął do płuc ostry zapach błota, pomieszany z balsamicznym aromatem karłowatej sośniny i zamierzał iść dalej, lecz zaledwie potrącił nogą pierwszy krzak bahunu, już rozgłośną lawiną zahuczały przed nim skrzydła, a barwny i wrzaskliwy bukiet pardw uleciał w dal z drwiącym chichotem.



Pod śnieżną pokrywą. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego".
Fot. R. Eisenbraun.

I uganiał się za niemi litewski myśliwy, przysiadając niekiedy na kępie, by z kawałka urwanej bibułki i szczypty tytoniu skręcić „bankrutkę", a wetknąwszy ją w cygarniczkę z zeschłej gałązki spirei — ćmić przez długą chwilę, oddając się jednocześnie błogiej kontemplacji. Potem, zalawszy zadymione gardło paru haustami zawartości szklanej manierki — podnosił się i ruszał na dalsze łowy. Zmęczony uciążliwą wędrówką po uginającym się mchu, prażony ostremi promieniami słońca, myśliwiec przystawał, ocierał z czoła pot, lecz ogarnięty pasją łowów — szedł naprzód, aż do chwili, gdy zgorączkowana ręka naprożno przewertowała przepastne wnętrze borsuczej torby, szukając w niej choćby jednego jeszcze ładunku.

Wówczas odwoływał psa ze stójki i, klnąc brzydko, zawracał w stronę domu srodze zmartwiony, choć na troczkach kołysało się kilkadziesiąt sztuk ptactwa, lecz przecież można było jeszcze, panie tego... z dziesiątek... właśnie Bekas... panie tego... stójkę... cholera.

A gdy wyczerpany całodzienną włóczęgą — zawędrował wieczorem na suchszy ostrówek wśród błot, wykwitał tam natychmiast czerwony jęzor płonącego ogniska, ślącego hen, wysoko, aż ku koronom staropiennych olch, siwy wężyk wijącego się dymu, w którym jarzyły się pryskające, jak gwiazdki, migotliwe iskierki. Na świeżym patyku leszczyny rumienił się i skwierczał, oblewając się połyskliwym płynem, kawałek słoniny, wydzielając smakowitą woń, bijącą zdaleka w nozdrza drzemiącego wyżła, który coraz to podnosił bronzowy, ciężki łeb i wietrzył luby zapach, od którego dzielił go złośliwie bulgoczący na drugiej tyce, jak rozłoszczony indor— pękaty kociołek z wrzącą wodą na herbatę.

Poza jasnym brzegiem, wykreślonym przez blask ogniska, leżała gęstwina czarnych, tonących w mroku nocy olch i splątana dżungla srebrnolistnej łozy, rozdarta przez środek korytem błotnej, głębokiej rzeczułki, podmywającej ciemnym nurtem gmatwaninę korzeni przybrzeżnych drzew. Płaskie, pływające, jak ceratki, liście grzybieni i grążeli pstrzyły mętne, niby smoła, topiele wody, z której dolatywał bezustannie ochrypły dyszkant żerujących cyraneczek, zagłuszony chwilami wezwaniem ukrytej w trzcinie krzyżówki. Masy roślinności błotnej przegradzały koryto rzeczułki, powodując rozlewy stojącej wody, ulubione siedliska kaczek.

Ale krzyki ich nie przerywały snu strudzonego myśliwca, jedynie wyżeł niecierpliwił się chwilami i budząc się — nasłuchiwał, oblizując duże, oślinione wargi. A nemrod, nawet we śnie polował dalej, bądź wydeptując tego spudłowanego w trawie kaczora, bądź też goniąc tamto stadko chyżych pardw na zarosłym mchu. I stadko to uciekało dalej, on zaś mruczał przez sen złorzeczenia i przekleństwa, aż łaciasty Bekas podchodził doń i mokrym językiem oblizywał „bulbowaty" nos swego pana, na skutek czego myśliwy budził się, przecierał oczy i stwierdzał, że już dnieje. Nos — barwy pięknego pomidora, upiększony fioletowemi żyłkami, obcierał skrzętnie rękawem, obracał się na drugi bok i spał dalej, teraz już dla odmiany chrapiąc na wzór zepsutych rur organowych.

Ten okres złotej wolności myślistwa i ciągłego obcowania z dziką naturą stworzył najwybitniejszych łowców kresowych — ludzi o głębokiej wiedzy, jakich sporo dziś jeszcze w Polsce spotykamy i wydał pierwszorzędne talenty pisarskie Weyssenhoffa oraz Korsaka, a i nieśmiertelne obrazy Zaborowskiego powstały także pod wpływem wrażeń, doznanych na dawnych dzikich łowach litewsko-białoruskich. Dzisiejsze naganki na bażanty, ani kotły zajęcze nie wyprodukują już potentatów pióra myśliwskiego, bo nie posiadają ani przepięknego, porywającego tła pierwotnej przyrody, ani wspaniałej gamy ówczesnych wzruszeń myśliwskich. Tamte czasy minęły bezpowrotnie. Dziś wkraczamy w nową erę sportowego i handlowego łowiectwa, erę pomyślnego rozwoju i wielkiego znaczenia łowiectwa w państwie. A jednak nemrod, który zakosztował tamtych łowów, będąc dziś najczęściej rozbitkiem, wyrzuconym przez wojnę z dawnych zakordonowych posiadłości — wzdycha ciężko i chętnie odbiega myślą ku owym latom, gdy jako pacholę „ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł przez pole".

W takich to złotych czasach dzikiego myślistwa, jako 13-to letni chłopak stawiałem pierwsze kroki w dziedzinie łowiectwa. Jedynym, ale zato niezastąpionym towarzyszem moich wypraw był Aleksander Kadelski, siedemdziesięcioletni starzec, znakomity rybak i niezrównany myśliwy. Twarz jego, od niepa-

miętnych czasów nietknięta brzytwą, pokryta była bujnym, szpakowatym zarostem, z za którego wyglądała para niebieskich, pełnych poczciwości oczu. Ubrany chodził zwykle w szarą, płócienną koszulę i takież spodnie, sięgające aż do kostek, podtrzymywane na biodrach przez wąski skórzany rzemyk, zwany „dziażką". Na głowie nosił wyszarzałą od słońca i starości czapkę, której barwy już niktby określić nie potrafił. Całe lato i jesień, aż do późnych przymrozków, chadzał boso. Jego czarne, jak ziemia, spękane, chropawe stopy, nie odczuwały zda się chłodu ani bólu, gdy nurzał je w październiku w lodowatych bajorkach krynic, lub biegł po ostrem ściernisku, czy leśnem podłożu, usianem setkami twardych szyszek. Darząc mnie nadzwyczajną sympatją — wtajemniczał we wszystkie „chytre sposoby" zdobywania ryby czy zwierzyny, odkrywał przed mym dziecięcym wzrokiem głębię dzikiej i pięknej kniei. I kiedy wesoło trzaskało ognisko na leśnej wyspie, a jeszcze radośniej bulgotał wiszący nad płomieniem imbryk z wrzącą wodą — stary, patrząc na niewyraźny kontur lasu, wyłaniający się z mroków nocnych — opowiadał mi setki swych przygód i opowieści myśliwskich, których słuchałem do późnej nocy z rozszerzonem spojrzeniem i zamarłym w piersiach tchem.

Czasami milknął na chwilę, paru dużemi haustami podarowanej przeze mnie monopolki zwilżał sobie gardło, zapalał pokaźnych rozmiarów „lulkę" i, otoczywszy się kłębami wonnego dymu — kontynuował swe niezrównane opowiadania.

*

Wśród pięknego gaju brzozowego, nad szafirową tonią jeziora, którego wody uciekały w dal, gdzieś aż pod horyzont, znajdowała się gajówka Aleksandra. Złote, słomiane strzechy zabudowań wtuliły się w zieleń drzew, świecąc nieskazitelną bielą dwóch kominów. Szare, belkowe ściany wyglądały na świat szeregiem okien o jaskrawo pomalowanych okiennicach. Przed domem rozprzestrzeniał się ogródek, w którym żółte nagietki i nasturcje słały się kobiercem u stóp zielonej ruty i krzaczków Bożego drzewka. Przy ścianach panoszyły się różnobarwne malwy i dalje, a tu i owdzie jaśniał krążek słonecznika.

Przez wysoki próg wchodziło się do sieni, służącej za skład rozmaitych sprzętów. Widać tu było ręcznie obracane kamienie młyńskie, czyli żarna, stępy do tłuczenia otrąb i pośladu, beczki, wory, pęki mioteł, kadzie do kapusty i miodu.

Z sieni szerokie pojedyncze drzwi prowadziły do izby mieszkalnej, łączącej się z inną, zwaną „komorą". Izba była bardzo obszerna o pobielanych ścianach; podłoga z ubitej gliny, czyli „tok" i sufit z grubych belek — wszystko utrzymane w największej czystości, sprawiało miłe wrażenie. W rogu, przy oknie stał stół z białych, niemalowanych desek, a nad nim, na ścianie cały szereg obrazów świętych, wśród których rzucał się w oczy jaskrawością barw oleodruk, przedstawiający bitwę w Porcie Artura. Z za obrazów, zdobiących wnętrze chaty, wyglądały święcone wierzby i pęczki suszonych ziół leczniczych, których odurzające zapachy wypełniały całą izbę. W innym kącie stał olbrzymi piec, a obok na murze umocowana była duża „polica", czyli półka, zdobna w niebieskie, papierowe kuchenne wycinanki, na której znajdowały się naczynia kuchenne i stos talerzy, oraz białych łyżek z lipowego drewna.



Bigos. Fot. Inż. Dąbrowski

Z okna rozciągał się widok na inne zabudowania gospodarskie i siny skrawek marszczącego się na wietrze jeziora, a pod słomianą strzechą dojrzeć było można mnóstwo gniazd jaskółczych, z których co chwilę wypadało ciemne ciałko ptaszęce i rozpostarłszy skrzydła szybowało w przestworza, w pogoni za owadami. W smukłych koronach brzóz, raz po raz rozlegało się melodyjne gwizdanie wilgi, śmigającej, jak złota raca, wśród zielonego listowia, a w nadwodnych zaroślach darły się namiętnie kukułki, łączące swe głosy z dziwacznem nawoływaniem kokoszek wodnych.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Odezwa do Braci Myśliwych.

W łączności z ogólnospołeczną akcją w całym kraju,ześrodkowaną w dążeniu do ulżenia doli bezrobotnym współobywatelom w okresie najcięższych do przetrwania miesięcy zimowych, — za przykładem Pierwszego Myśliwego Rzeczypospolitej, Pana Prezydenta Prof. Ignacego Mościckiego, który przeznaczył zdobycz myśliwską z jednego ze swych polowań (w lasach nadl. Lutówko na Pomorzu), jako ofiarę w naturze dla bezrobotnych, —

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich apeluje do wszystkich zrzeszonych stowarzyszeń, jak również poszczególnych myśliwych i hodowców o składanie ofiar na ten cel w postaci ubitej na polowaniach zwierzyny i wyraża nadzieję, że i w tej dziedzinie gospodarczej i sportowej znajdą się liczni ofiarodawcy, którzyby pragnęli, by imię polskiego myśliwego zostało złączone z akcją Ogólnopolskiego Obywatelskiego Komitetu Zimowej Pomocy Bezrobotnym.

Jednocześnie dodajemy, że ofiarowaną zwierzynę należy składać w najbliższych Powiatowych i Miejscowych Obywatelskich Komitetach Zimowej Pomocy Bezrobotnym.

Wszystkich ofiarodawców prosimy o zawiadamianie Związku o ilościach przekazanej tym Komitetom zwierzyny.

Wydział Wykonawczy

Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Cecil Smith jest typowym przedstawicielem swojej rasy. Średniego wzrostu, szczupły, ale krzepkiej budowy, doskonale wygolony, blisko sześćdziesięcioletni, z oszronionemi skroniami — Anglik. Z pod ceratowego kapelusza wyglądają wypłowiałe, ale bystre jeszcze niebieskie oczy. Ubranie jego jest dostosowane do warunków, w jakich przebywa. Gruby, wełniany swetr, wiatrówka z nieprzemakalnego płótna, spodnie z przetłuszczonej wełny, buty gumowe, sznurowane do kolan, o grubej falistej podeszwie, środkowa część której ma wystające, ostre gwoździe.

Grzecznie, spokojnie przywitał mnie i na miejscu, w ciągu półgodzinnej rozmowy przedłożył mi plan i marszrutę już na następny dzień.



Głowa pumy.

W odległości czterdziestu mil od Nansimo, w małej osadzie Komox dżentelmen ten ma swój home i tam znajduje się jego sfora. Nocuję w schludnym hoteliku, do którego Cecil mnie odwiózł, aby następnego dnia, z brzaskiem przyjechać po mnie. Udajemy się razem do Forbidden Plateau. Tam miało się rozpocząć to niezwykle interesujące i uciążliwe tropienie pumy. Rano, w myśl umowy, przyjechał strzelec z psami — łaciaty Prince i czarny jak żuk, z białym krawatem, Morry. Z całej sfory podobno najlepsze. I o ile moje wiadomości kynologiczne są tu wystarczające, były to mieszańce gończych z angielskiemi ponterami. Pniemy się samochodem w górę i w pewnym miejscu, gdzie droga nagle urywa się, zostawiamy nasz wóz. Smith przywiązuje na długiejlince do pasa Morry, Prince zaś, luzem przy nodze, lub też w promieniu jakichś stupięćdziesięciu yardów, fachowo milczkiem z nosem przy ziemi, zataczając koła, bada i węszy gliniastą ziemię.

System Smitha jest prosty. Przedewszystkiem świeży trop. Pod żadnym pozorem i nigdy przy psach wytresowanych do tropienia pumy inną zwierzyną się nie interesować. Psy mają za zadanie gonić i wpędzić pumę na drzewo. Żaden inny trop nie istnieje i istnieć nie powinien.

Rozwinąć i zaostrzyć w psie instynkt wrogości do kocura, którym go natura obdarzyła, wymaga benedyktyńskiej cierpliwości i samozaparcia, bo przecież lasy Vancouver, tej wiecznie wilgotnej, ciepłej kniei o bogatej glebie, z jeziorami i strumieniami, które roją się od najszlachetniejszych gatunków ryb, pełne są płowej zwierzyny, wilków i czarnych niedźwiedzi. To też wiele trudu i pracy wymaga sztuka ułożenia psa tak, aby, mając tyle ponętnych śladów różnorakiej zwierzyny, puszczony luzem, podjął wyłącznie trop pumy, niejednokrotnie już dosyć przestarzały i, goniąc śladem, tylko nim się interesował.

„Morry", na długiej lince uwiązany do pasa, krok w krok postępuje za Smithem. Prince, więcej opanowany, faworyt Cecila, chodzi luzem, oddalając się tylko nieznacznie i pracowicie bada każdy interesujący go odcisk na ziemi. Jest ciepło, ślisko, a las przesycony jest wilgocią. Każda poruszona przez nas gałąź, każdy krzak strząsa strumienie wody.

Na najbliższych parę dni ułożyliśmy plan zbadania szczytów Forbidden Plateau, które ponad granicą lasów pokryte są obfitym śniegiem. Smith chce mi zaoszczędzić trudu. Prowadzi mnie w takie miejsce, gdzie najwidoczniejszy będzie świeży trop pumy. Obaj z Cecilem obładowani jesteśmy pokaźnym bagażem. Mamy lekki jedwabny namiot, śpiwory, prowiant obliczony na dwa, trzy dni.

O automobil możemy być spokojni. W dole jest ciepło. Mrozów wyspa Vancouver prawie że nie zna. Kradzieże niespotykane są w tym pięknym kraju. Wóz Cougar-Smitha znany jest na całej wyspie wzdłuż i wszerz, a trudno przewidzieć, czy gorączka myśliwska nie zapędzi nas hen, daleko wgłąb wyspy, czy Prince trop podejmie o siódmej rano, czy o piątej po południu...

Cecil, którego ojciec był jednym z pierwszych białych osadników na tej wyspie, znany jest tu i powszechnie lubiany. Zadaniem jego jest, jak to już wspomniałem, tępienie tego wielkiego szkodnika i drapieżcy, pumy. Zwierzę to, o ile doprawdy groźne jest dla jeleni i żywego inwentarza farmerskiego, gdyż morduje nietylko dla nasycenia głodu, ale dla samej żądzy krwi, o tyle, co stwierdził mój przewodnik, w niesłychanie tylko rzadkich wypadkach atakuje ludzi. Był wprawdzie wypadek rozszarpania dwojga dzieci przez pumę, ale miało to miejsce dużo lat temu i puma, która została wkrótce potem zastrzelona, była oślepiona. To było prawdopodobnie przyczyną, że, doprowadzona głodem do ostateczności, rzuciła się na człowieka. Stąd mit o jej rzekomej wrogości do ludzi, który po dziś dzień trwa.

Każdy z obywateli na wyspie Vancouver ma za swój obowiązek, gdziekolwiek i jakikolwiek ślad pumy zauważy, zawiadomić o tem Smitha. Dzieci zaś z danej okolicy do chwili zjawienia się strzelca z psami wolne są od jednakowo niemiłego pod każdą szerokością geograficzną obowiązku chodzenia do szkoły. To było też powodem niezrozumiałej dla mnie początkowo niechęci, a nawet wrogości młodego pokolenia w stosunku do ogólnie lubianego i poważanego Smitha.

Bo przypuśćmy, że mister Wood z Cambell River przypadkiem czy też polując zauważył, lub też zdawało mu się, że widzi świeży trop pumy. Natychmiast telefonicznie komunikuje się ze Smithem i o ile tylko znalazł go w domu, obowiązkiem tego ostatniego jest przyjechać, nie zwlekając, na miejsce z psami. A do tej chwili potomkowie p. Wooda i innych mogą swobodnie hasać, nie obciążając głów zbytecznemi w ich pojęciu wiadomościami. Przyjeżdża taki „dammed" Cecil i wakacje dostają w łeb...

Mały Patrick czy Mich (Majk) podczas lubych godzin nadprogramowej wolności, trwających czasem trzy, cztery dni, obnosi swój piegowaty irlandzki nos po takich wertepach i kątach, że od ewentualnego spotkania z pumą, albo z czarnym niedźwiedziem, gdyby rzeczywiście były one dla dziatwy groźne, nie obroniłby go nawet cały pluton Smithów. Ale żadna siła ludzka nie zmusi go do pójścia do szkoły. Taki

jest zwyczaj i Anglosasi, znani z zachowywania tradycyj, nie odstępują od niego.

Toteż nieraz byłem świadkiem, włócząc się tygodniami ze Smithem, jak młodzież obojga płci witała go dźwiękami, które u nas wydaje się, przykładając zwiniętą w trąbkę dłoń do ust dla wabienia wiosną kaczorów, krzyżówek, lub też cyranek.

Dźwięk ten, charakterystyczny u przewoźników-wabiarzy na Polesiu, tutaj bynajmniej nie ma na celu wabienia kaczorów, oznacza natomiast pewną mało ponętną propozycję...

Nieznany mi jest powód, dla którego odgłos ten cieszy się tak mizerną opinją na tym kontynencie, ale tak jest. I przypominam sobie gaffę, jaką popełniłem na przyjęciu w „Quadra Club", zaraz po przyjeździe do Kanady, kiedy, opowiadając o wiosennych polowaniach na kaczory, zademonstrowałem powyższy sposób wabienia, wzbudzając tem ogólną konsternację i wesołość. Nie wiem, jaki ta sprawa przyjęłaby dla mnie obrót wśród wykrochmalonych dżentelmenów „Quadra Clubu", gdyby nie interwencja konsula węgierskiego, który w dowcipny sposób wybawił mnie z opresji...

Smith jest znakomicie uposażony. Dysponuje samochodem i utrzymuje sforę na koszt prowincji. Doniedawna jeszcze, mimo stałego uposażenia, za każdą strzeloną pumę otrzymywał specjalne nagrody w wysokości pięćdziesięciu dolarów za sztukę. Przyjmując pod uwagę, że roczny jego rozkład tych zwierząt waha się w granicach od trzydziestu do czterdziestu sztuk, w budżecie jego stanawiło to wcale pokaźny dodatek. Psy zaś, niezależnie od tego, że władze prowincjonalne za utrzymanie ich i tresurę płacą, są ponadto asekurowane dosyć wysoko, również na koszt rządu prowincji.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że niema bodaj roku, w którymby zacna pani Smith nie opłakiwała wspólnie z Cecilem trzech do czterech pupilów swoich, tych doprawdy cudownych i bajecznie ułożonych tępicieli górskiego lwa *(mountain lion)*.

Bo przecież ten, kto polował na pumy, wie najlepiej o tem, że strzał do tego drapieżcy, osaczonego na drzewie przez miotające się w pasji i ujadające psy, jest dziecinnie łatwy. I Smith, który w ciągu trzydziestu pięciu lat swej pracy ma wiele ponad tysiąc tych zwierząt na rozkładzie, na palcach jednej ręki zaledwie doliczy się przypadkowego, bez pomocy swej sfory, strzału.

Płowe, o giętkich, tygrysich ruchach, cudownie gibkie, o szlachetnej proporcji, piękne, nakształt figurki z Tanagry, to zwierzę jest tak zwinne i ostrożne, że niepodobieństwem jest podejść je bez psów.

Podczas przerwy obiadowej, kiedy siedzimy u stóp cedru i paląc rozmawiamy, Smith, naoliwiony dobrym łykiem whisky, pozbywa się swojej rezerwy i powoli się rozgaduje.

Dowiaduję się, że czarny „Morry", który na smyczy postępuje za swoim panem, jest psem o bajecznie czułym węchu. I kiedy się odezwie głos „Prince'a", donoszący o podjęciu tropu górskiego lwa, wówczas Cecil śpieszy na miejsce z „Morry". Gdy potwierdzi on nieomylność swego towarzysza, może pan być najzupełniej pewny, że w ciągu najbliższej godziny puma będzie osaczona na drzewie. *(Tryed)*.

— Czarny z krawatem „Morry" jest czuły, jak sejsmograf, na każdy najlżejszy nawet odwiatr drapieżcy. Zdarza się przecież, że łaciaty „Prince", który zawsze pracuje w pewnem oddaleniu ode mnie, lub też ja sam, na czarnej stopie nie zawsze trop zauważę. „Morry" żadnego śladu w zasięgu swego nosa nigdy nie przegapi. Wtedy vice versa wołam „Prince'a" dla sprawdzenia. Spuszczam z liny „Morry" i zaczyna się najwspanialszy gon.

— Czarny jest jednak nerwowy i nie ma tej wytrzymałości ani opanowania, co łaciasty. I bywa, że podejmując trop bardzo przestarzały, zbytnio się zapędza, że przepada mi czasem na dwa, trzy dni. W dodatku ciągnie za sobą spokojnego „Prince'a", zazdrosnego jednak o laury łowieckie, nie zdając sobie wcale sprawy z grożącego niebezpieczeństwa.

— Niejeden już z moich psów, zapędziwszy się, padł ofiarą wilków, odwiecznych swoich wrogów, lub też pumy, broniącej zażarcie młodych. Nieraz też, kiedy pójdą w miot i tracę ich z oka, czarny djabeł namawia swego kolegę do brzydkich, bardzo brzydkich czynów, gdyż w zaciekłości swojej nawet jelenia zaatakuje i pogoni...

— Muszę jeszcze dodać tu na niekorzyść „Morry", że przy tropie pumy, tylko zaakceptowanym przez niego, a podjętym przez jego kolegę, który nie ma tak wyrafinowanie czułego węchu, łatwiej jest dojść do strzału, niż w wypadku przeciwnym, gdyż, jak już powiedziałem, wrażliwy organ powonienia czarnego łapie odwiatr zwierzęcia nawet mocno przestarzały, mający jednak wymowę dostateczną, aby go podekscytować i rozgrzać.

— Panie, gdyby „Morry" przy swoim nosie miał te zalety, które w dostatecznym stopniu posiada „Prince", zaryzykowałbym twierdzenie, że w ciągu długoletniej mojej pracy takiego psa jeszcze nie miałem. Ale cóż, on jest *fool*, to jest warjat, który niejednokrotnie doprowadza mnie do pasji. I wady jego temperamentu więcej mi nieraz szkodzą, niż czułość jego czarnych, szerokich, połyskliwych, wiecznie wilgotnych nozdrzy przynosi pożytku.

Mister Smith, pieszczotliwie i czule odnosi się do „Prince'a", podczas gdy „Morry" jest raczej traktowany jak kopciuszek, który niejednego już kuksańca otrzymał. Współczuję czarnemu „Morry". Rozumiem go doskonale. Proszę tylko pomyśleć: towarzysz jego buja wolny po wspaniałej kniei, od czasu do czasu tylko dając znać głosem o miejscu swego buszowania. Czarny na smyczy drży wówczas i, wyrywając się ku niemu, szarpie Cecila. Jego mięśnie pod połyskliwą skórą napinają się, drgają i chociaż wie, że oczekuje go bolesny raz, rwie linę u pasa strzelca. Przytem uprzywilejowany „Prince", ambitny i zazdrosny, korzystając z opieki pana, niejednokrotnie zębami na jego skórze wyraża złość swoją na los, który go obdarzył mniej czułym wiatrem.

— Wśród starych legend indjańskich zachowało się wierzenie — opowiada Smith — że ongiś, w zamierzchłych jeszcze czasach, puma była zwierzęciem oswojonem. Wśród szczepów Tolteków, Nootka i Quaquitle cieszyła się nawet specjalnemi przywilejami, jako bóstwo. Wspominał mi również o tem jeden z uczonych austrjackich, który kilkakrotnie, przed wielką wojną jeszcze, przyjeżdżał do mnie, kompletując zbiory do wiedeńskiego muzeum przyrodniczego.

— Fakt ten nabiera cech prawdopodobieństwa zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę, że zwierzę to, o niesłychanej, nieprawdopodobnej sile i umięśnieniu, szczególnie przednich łap, które jednem uderzeniem kończyny wali z nóg jelenia, przewyższającego nieraz dwukrotnie masą swego przeciwnika, jednak przed myśliwym i jego psami w panice tchórzliwie chroni się na jedyną w jego pojęciu naturalną twierdzę, jaką stanowią konary drzewa. Świadczy to o pewnym instynktownym lęku, jaki wzbudza w pumie człowiek, gdyż w przeciwnym wypadku, napastowana i osaczona przez psy, nietylko że nie byłaby łatwym celem dla strzelca, ale groźnym jego wrogiem. Jednym susem i machnięciem uzbrojonej w pazury łapy, zmiotłaby mnie przecież. A jednak — chociaż psy moje nieraz przypłaciły życiem swój instynkt łowiecki, zmiażdżone wprost przez pumę, karmiącą młode, lub też przez jakiegoś starego samca, nigdy nie miałem wypadku, by kocur ten mnie zaatakował. A przecież obowiązek swój spełniam sumiennie. Nie darmo fama dodała do mego nazwiska przydomek *„Cougar"* (Puma).

(D. c. n.) M. G.

NARESZCIE!...

W N-rze 43 z dnia 25-X-1936 r. tygodnika „Kino" ukazał się istotnie znamienny artykuł, pióra p. Ludomira Rubacha, o Polesiu, jako o krainie egzotycznych plenerów oraz oryginalnych tematów filmowych.

Szanowny Autor, stojący widocznie blisko sfer produkcji kinematograficznej, dobrze się zasłużył łowiectwu szeregiem bardzo dzielnych swych uwag, dotyczących dramatów obyczajowych ze świata zwierzęcego.

Zazwyczaj są one u nas czerpane ze środowisk kryminalnych, lub też z dziedziny aż do przesytu wyczerpanych tematów, przerabianych ze zwietrzałych powieści. Opracowane przez domorosłych autorów scenarjusze bywają od siedmiu boleści! Toteż masakrują częstokroć arcydzieła, jak to miało miejsce z „Puszczą" mistrza Weyssenhoffa, o czem już w swoim czasie pisałem w „Łowcu Polskim", lub też noszą cechy zupełnie niezabawnych bufonad, które na kulturalniejszą część publiczności wywierają przeciwne, bo pogrzebowe nastroje.



Bażant albinos. Z serji, nagrodzonej III nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. A. Wiśniewski.

Jedynie fragmenty z życia naszej armji i marynarki wojennej, pogodnym humorem jaśniejące taśmy na powyższe tematy, stanowią wyjątek w morzu beznadziejnej banalności wyczynów produkcji kinowej, których zazwyczaj pojawienie się na ekranach zupełnie uzależnione jest od metod najbrutalniejszej, powiem więcej — najgłupszej, bezczelnej spekulacji — i to na krótką metę. Powiedzą mi: a brak środków, a konieczność błyskawicznego obrotu handlowego?!...

Przecież nie jesteśmy Goldwyn - Majerami, Hollywoodami, Gaumontami, czy innemi Ufami. Tak jest, zapewne, a jednak i my też w tej branży mamy jeden duży, a drugi przeogromnej doniosłości istotny walor. Mam na myśli imiona zasłużonych Koryfeuszów scen naszych. Każde zdjęcie, chociażby lichego filmu, uświetnione udziałem takich sił scenicznych, jak Junosza Stępowski, Węgrzyn, Janina Malicka, Ćwiklińska i tylu innych, będzie zawsze dostatecznym magnesem dla najlepszego biznesu.

Drugi nasz potężny atut są to nasze cudne, bajkowe Kresy Wschodnie, stare, jeszcze, chwała Bogu, dotychczas nieosuszone na piasek Sahary — Polesie. Tu już posiadamy zaiste skarbiec nieprzebranych klejnotów etnograficznych, folklorowych, historycznych — nie mówiąc już o koloryzacji tła — zwierzostanami!

Oczywiście, że na podobnem tle nakręcony, nawet średniej literacko-filmowej wartości scenarjusz, już zaciekawi każdego z nas, polskich myśliwych, a może jeszcze w większym stopniu zagranicznych. Aliści — i bez żadnego reżyserowania — z natury wychwycone typy, tradycyjne obrządki, epizody scen jarmarcznych, rybackich — nie na tle szosy wilanowskiej, podwarszawskich siedzib ziemiańskich, aż do obrzydliwości już wszystkim znanych — poprostu śród potęgi, niefałszowanej, niepoprawianej techniką ludzkiej ręki przyrody!...

Zdjęcia polowań, żywych objektów, ustrzelonych kamerą, wymagają jednak w roli realizatorów nietylko gruntownych znawców i miłośników, powiem więcej, fanatyków kresowej natury, ale jeszcze do tego myśliwców fachowych de re et nomine!

Powinni oni być rodem z tego dziwnego kraju, lub też dziesiątkami lat błąkać się ze strzelbą na ramieniu po rojstach, drągowinach, moczarach i olszniakach poleskich, śród rozłogów, jarów i szerokich horyzontów Wołynia i Wileńszczyzny. Niełatwo będzie znaleźć odpowiednich ludzi do takiej roboty! Lecz jeśli im się poszczęści, to rezultatem będzie szereg arcydzieł ekranowych o bezcennej muzealnej wprost wartości historyczno-przyrodniczej. Pod względem zaś biznesowej intraty — to wielkie amerykańskie wytwórnie ogromnie łase są na wszelkie „metrażówki" jeszcze nieznanego folkloru i niesamowitej... egzotyki. Puszcze ekwatorjalne, lodowce mórz arktycznych, pierzaste palmowe gaje przeróżnych Jaw i innych Borneów, wszystko to już było widziane, powiedziałby stary Ben-Akiba...

Natomiast jakże rzadko laik może obserwować rozlewy Prypeci czy Jasiołdy, rozkoszować się skromnym strzałem do kaczora, bajkową koloryzacją nieba na ciągu słonek, widokiem głuszca na grze, teteruków — trubadurów i ich turniejów; nie mówiąc już o łosiach, niedźwiedziach-imperatorach. Nawet ptaszynka każda, żadnemu ornitologowi nieznana, czyż nie jest godną figurować w „krótko-metrażówkach"?

Najlepszym dowodem głębokiego zainteresowania wielkich koncernów filmowych było przed kilku laty skromne nakręcenie w Borsukach (u mojej bratowej i bratanicy) wspólnie ze ś. p. Juljanem Ejsmondem, przez Niego zainicjowanego filmu krajoznawczo-myśliwskiego. Polowaliśmy jesienią na gęsi i kaczki. Tych tak banalnych paręset metrów natychmiast zostało rozchwytane dla amerykańskich wytwórni filmowych.

Coprawda pokazano je także w swoim czasie w niektórych kinach warszawskich... Dlaczego nie wszędzie w kraju? Zaprawdę: cudze chwalicie — swego nie znacie! Cóż robić? Tak było, tak jest, lecz tak być nie powinno!

*

Odczytując wyborny artykuł p. Z. Rubacha, nie można nie docenić narodowo-historycznego znaczenia najszybszego opracowania filmowego naszych kresów, w ich dzisiejszej szacie.

Osobiście nie bardzo wierzę w kilkoletnie osuszenie Polesia, więc zwierzostany tamtejsze dzięki mądrej ustawie mogą jeszcze na długie lata pozostać. Będziemy długo jeszcze oglądali poleskich diad'ków, o dziecinnie dobrych oczach, ich łapcie z łyka, kołtuniaste grzywki, sylwetki pniaków olchowych przeróżnych Owsijów i Halimonów.

Niestety, kiedyś musi nastąpić bolesna metamorfoza. Ujrzymy więc poleskie dziewoje w „maszynowych" pantofelkach na francuskich obcasach (i to notabene tandetnego wyrobu) — zczezną samodziały, zapaski — natomiast pokażą się marynarki z wyrobów polskiego Manchesteru! Cóż robić? Ubolewać

nad tem może esteta-myśliwiec, nigdy zaś dobry Polak, kochający swój naród i pracujący nad polepszeniem jego doli i niedoli.

Wobec tych ewentualności jakże czasu tracić nie należy!

Nie było nas — był las! — Nie będzie nas — będzie las! Ale, niestety, zupełnie inny, zupełnie odmienny.

I ludzie „tutejsi" też staną się inni.

A jednak!?... Dusza myśliwca-przyrodnika płakać nieraz będzie, wspominając brudnego, zamorusanego bębna, owe „poleszątko", tak naiwnie proszące: „panoczku, daj cukierka"... tam na terenie bat'ka (ojca) towar (bydełko) lub gęsi doglądające, albo na „peczi" (piecu) podnoszące ciekawie swą biało-płową główkę, oczętami, jak w obraz, wpatrzone w miastowego przybysza, słuchające jego „bałakań" (opowiadań).

Pomimo wszystko ani czas, ani ludzie nie zagasną odrazu. A czarne welony nocy rozgwiażdżonej, blada poświata księżyca, mleczne jesienne opary i biel śniegów, wiecznemi pozostaną — ku radości braci naszej!

Dla nas tembardziej jakże wysoko cennemi są poruszane tematy i to nietylko w naszej prasie fachowej, nietylko gwoli pięknych ilustracyj we wspaniałych tygodnikach, ale nawet w piśmie specjalnie kinowem.

Dobry jest ten omen.

Nie zasypiajmy więc gruszek w popiele, bo niezawsze wiosna bywa i nie zawsze słowik śpiewa. Szczególnie nie będzie śpiewał, gdy zmodyfikuje się to wszystko. A teraz jeszcze może uplastycznić się na taśmie owa fata-morgana.

A czyż życie nasze, jego radości rzadkie, a smutki częste, nie są też „snem złotej przeszłości" na bezbarwnem tle ekranów?...

Tylko gdy raz już się wykręci, to nie powtórzy się nigdy film dni naszych!

Wdzięczność nasza, należną jest Sz. Autorowi i redakcji „Kino". Robota to jest *ad majoram gloriam* św. Huberta. Doczekaliśmy się poważnego potraktowania tak drogiej sercom naszym sprawy, doczekamy się być może i realizacji — wreszcie!

ADAM RZEWUSKI

STARZENIE SIĘ MYŚLIWSKICH PROCHÓW BEZDYMNYCH.

W „Łowcu Polskim" Nr. 6 — 7/36 ukazał się bardzo interesujący i bardzo fachowo napisany artykuł p. inż. Tadeusza Śliwińskiego p. t. „Ładunki świeże i nowe", w którym Sz. Autor wyznaje, że nieraz miał sposobność obserwować „miękkie" strzały śrutowe i wyraża przypuszczenie, że przyczyna tego może leżeć w t. zw. „starzeniu się" prochu, to znaczy, że naboje, użyte w krótkim czasie po elaborowaniu, zabijają b. dobrze i dobrze trafiony zwierz pada na miejscu, podczas gdy naboje przechowywane przez jeden lub kilka sezonów nie mają tej zalety; zwierzyna postrzelona idzie dalej, trzeba jej szukać z psem, dobijać kijem naganiaczy i t. p., co do przyjemności nie należy, ani z etyką myśliwską się nie zgadza.

Tem naświetleniem sprawy zainteresował się oczywiście nasz świat myśliwski, a nie mniej także i producenci prochów, przedewszystkiem zaś Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, wyrabiająca prochy myśliwskie kulowe i śrutowe.

Kwestja chemicznej stałości bezdymnych prochów nie jest nową.

Przypominam sobie np., jak około 1900 r. francuska marynarka wojenna wprowadziła nowy bezdymny proch do dział okrętowych i była z niego bardzo zadowolona. Wtem coś w rok potem nastąpiła z niewiadomej przyczyny eksplozja na pancerniku „Canrobert", powodując jego momentalne zatonięcie. Wkrótce potem nawiedziła podobna katastrofa inny pancernik. Z początku przypuszczano, że to akcja sabotażowa, potem jednak okazało się, że przyczyną katastrof był chemiczny rozkład i samozapalenie się owego bezdymnego prochu w komorze prochowej. Były to jednak czasy, kiedy technika wyrobu bezdymnych prochów wogóle była jeszcze w powijakach.

Po tej głośnej w całej Europie aferze zaczęto się we wszystkich państwach bardzo żywo interesować kwestją chemicznej stałości bezdymnych prochów, bo przecież chodziło o mobilizacyjne zapasy amunicyjne, które muszą dziesiątki lat leżeć w magazynach i mimo to być zdolne do użycia.

Osiągnięto też w tym kierunku bardzo dobre rezultaty, faktem bowiem jest, że np. podczas wojny strzelano z karabinów, jak i z armat, amunicją wyprodukowaną około 1900 r. i nie zauważono żadnych ujemnych własności.

Pamiętam około 1903 r. zajadłą dyskusję w prasie myśliwskiej i w kołach myśliwskich, gdy w b. Austro-Węgrzech został jako śrutowy bezdymny proch wprowadzony t. zw. „proch myśliwski Nr. I" (Wöllersdorfer - Jagdpulver Nr. I). Twierdzono o nim ogólnie, jakoby miał tę własność, że im dłużej w suchem miejscu leżał, tem silniej działał. Stało się więc ogólną zasadą deponowania go w możliwie suchem i ciepłem miejscu. Ile w tem prawdy nie wiem, faktem jest jednak, że był wcale dobry, jednak ku schyłkowi wojny światowej przestano go, zdaje się z powodu braku surowców, fabrykować.



Paśnik. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. K. Komierowski

Co się jego „długowieczności" tyczy — to dość przytoczyć, że strzelałem nim jeszcze w r. 1928, t. j., gdy miał najmniej 10 lat — i to skutecznie — a jeszcze dziś są myśliwi, mający „przedwojenne zaoszczędzone zapasy" tego prochu, wzgl. gotowe naboje (t. zw. Wöllersdorfery") — strzelają niemi dziś jeszcze i wcale się nie uskarżają na jakiś zanik siły.

Sz. Autor wspomina także o prochu kulowym, wzgl. karabinowym.

Tu należy przedewszystkiem zrobić zasadniczą różnicę między prochem, wyprodukowanym w czasie głębokiego pokoju, a fabrykatem wojennym; ten ostatni

w przewidywaniu rychłego zużycia jest robiony w przyśpieszonem tempie i bardziej uproszczonym sposobem, co naturalnie odbija się silnie na jego wartości.

O ile proch, zrobiony skrupulatnie w czasie pokoju i odpowiednio przechowywany, zachowuje swoje własności bez zmian przez dziesiątki lat, to fabrykat wojenny, szczególnie gdy przeleży w wilgotnych okopach i kawernach przez tygodnie i miesiące, może stracić na jakości.

Miałem sposobność robić przez szereg lat na tem polu doświadczenia przed wojną światową w charakterze oficera broni w b. armji austro-węgierskiej; przestrzeliwując mianowicie setki sztućców w r. 1912 — 1913, posługiwałem się często np. amunicją z rocznika 1902 i nigdy nie zauważyłem jakiejś widocznej zmiany; natomiast amunicja, wyprodukowana w czasie wojny, miała duży rozrzut i pozostawiała wiele do życzenia (liche spłonki, niewypały i t. d.).



W drodze na polowanie. Fot. Dr. J. Błeszyński.

Od tego czasu upłynęło już dużo lat, wykorzystano doświadczenia wojny światowej i kilku innych mniejszych — i fabrykacja prochów bezdymnych poczyniła ogromne postępy także w kierunku stabilizacji chemicznej i dziś jest już tego rodzaju rozkładanie się prochu i samozapalanie się zupełnie wykluczone.

Tyle z przeszłości. Wracam do treści artykułu Inż. Śliwińskiego.

Jestem w kontakcie z Państw. Wytwórnią Prochu w Pionkach i wiem, że doświadczenia nad starzeniem się prochu były tam przeprowadzane b. szczegółowo przez tamtejszą Stację Badań Balistycznych ze wszystkiemi gatunkami prochów; zmian we właściwościach balistycznych w ciągu kilku lat nie stwierdzono.

Gdy jednak wskutek wyżej wymienionego artykułu kwestja ta między myśliwymi stała się aktualną i zaczęły mnie dochodzić liczne zapytania z różnych stron, zwróciłem się do tej instytucji z prośbą o przeprowadzenie takiej próby w mojej obecności z najstarszym prochem „Sokół". Dyrekcja tej wytwórni z cechującą ją zawsze uprzejmością przychyliła się do niej. Próba ta odbyła się w Pionkach 19.VI. b. r.

Przeprowadzono ją w ten sposób, że sfabrykowano po kilkadziesiąt nabojów w kalibrze 12 z prochu rocznika 1931 i r. 1934, bo te były pod ręką — nabijając je 32 gr. śrutu Nr. 2 (3,5 m/m) — i strzelano serjami po 5 strzałów.

Rezultaty przeciętne podaje niżej zamieszczona tabela.

Porównajmy najbardziej dla starzenia się prochu miarodajne cyfry, t. j. te, które nam podają przeciętną chyżość śrutu w 15 metrze.

Widzimy, że różnica wynosi ledwie 2 m/sek, co możemy uważać za „quantité negligeable", biorąc bowiem pod uwagę fakt, stwierdzony próbami, że różnice w chyżości nawet do 19 m/sek nie są w stanie wpłynąć na przebicie choćby jednej tekturki grubości 1 m/m, musimy przyznać, że okres magazynowania nie wpłynął zupełnie na zmianę chyżości, czyli że proch „Sokół" przez ten czas nic ze swej dobroci nie utracił.

Przypatrzmy się następnym rubrykom, podającym przeciętne wartości ciśnienia gazów. Wiem z doświadczenia, że przy ciśnieniu gazów różnice mogą sięgać do kilkudziesięciu atmosfer (z powodu niemożności dokładniejszych pomiarów za pomocą „cruskerów") bez widocznego wpływu na chyżość i pokrycie; widzimy więc, że i tu różnice między porównywanemi rocznikami są bez znaczenia.

*

Streszczając powyższe, mogę zapewnić Braci w św. Hubercie, że to t. zw. „starzenie się prochu" ma dla nas myśliwych raczej teoretyczne znaczenie, bo trzeba kilkunastu lat, a nawet dłuższego czasu, by stwierdzić jakąś mającą praktyczne znaczenie zmianę walorów balistycznych naszych prochów.

Utwierdzają mnie w tem zapatrywaniu także moje osobiste spostrzeżenia, robione na polowaniach w lecie, jak i w zimie. Daję rocznie niewiele, bo przeciętnie 700 strzałów i nieraz nabojami, które z różnych powodów 2 — 3 lata na swą kolej czekały, a przecież nie zauważyłem żadnej zmiany.

Przypuszczam więc, że przyczyny „miękkich" strzałów, o których pisze Sz. Autor, może raczej w niewłaściwym sposobie przechowywania nabojów szukać należy. A może zaszedł jeden z powodów, o których pisałem w „Łowcu Polskim" p. t. „Istotne i urojone przyczyny złych strzałów śrutowych"?

Przy doświadczeniach, jakie zrobiliśmy zagranicą, jak i u nas, podczas różnych zawodów strzeleckich z naszą krajową amunicją — możemy i nadal darzyć ją całem zaufaniem, odpowiednio ją przechowując — i nie troszczyć się o jej wiek.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI

Proch „Sokół" P. W. P. w Pionkach	Przeciętna chyżość w 15 metrze V_{-15}	Ciśnienie gazów na ściany lufy			Uwaga
		w środku łuski P_1	u wylotu łuski P_2	maksymalne ciśnienie, stwierdzone w serji P_{max}	
rocznik 1931	324·5 m/sek	382 atm	524 atm	576 atm	Przy pomiarze ciśnienia gazów posługiwano się niemiecką metodą, używając t. zw. „Sauersche Gasdruckflinte"; średnica tłoczka: 11·1 m/m
rocznik 1934	326·5 m/sek	364 atm	552 atm	638 atm	

WSPÓŁDZIAŁANIE WŁADZ PIERWSZEJ INSTANCJI W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM.

STAROSTA POWIATOWY KALISKI
L. BA. 16:

Kalisz, dnia 12 listopada 1936 r.

Zwalczanie kłusownictwa,
wzmożenie akcji.

Do
Panów Wójtów Gmin Wiejskich
na obszarze powiatu kaliskiego.

Załączając odpowiednią ilość egzemplarzy obwieszczenia w sprawie zwalczania kłusownictwa, proszę Panów o zarządzenie wywieszenia po jednym egzemplarzu w Zarządzie Gminnym, Sołectwie oraz w każdej miejscowości na terenie tamtejszej gminy.

Przy okazji wręczania sołtysom obwieszczeń należy pouczyć ich, że, jako zaprzysiężeni funkcjonarjusze, obowiązani są czuwać nad przestrzeganiem przez ludność przepisów prawa łowieckiego i o wszelkich naruszeniach tychże przepisów natychmiast zawiadamiać najbliższy posterunek Pol. Państwowej celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności karnej.

Jednocześnie proszę Panów o polecenie sołtysom, ażeby niezależnie od wywieszenia obwieszczeń, treść obwieszczenia odczytali na najbliższej radzie gromadzkiej oraz treść tę ustnie zakomunikowali miejscowej ludności w sposób, na poszczególnych gromadach praktykowany.

Na każdej odprawie sołtysów należy omawiać sprawę walki z kłusownictwem.

Żywię nadzieję, że przy pomocy Panów oraz sołtysów i ludności miejscowej uda się zwalczyć kłusownictwo i nielegalne posiadanie broni, a w każdym razie aktywność kłusowników zmniejszyć do minimum.

Starosta Powiatowy:
H. Ostaszewski

OBWIESZCZENIE.

W roku bieżącym znaczna liczba osób została ukarana za przekroczenia Rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 3 grudnia 1927 roku o prawie łowieckiem, co świadczy o rozpanoszeniu się kłusownictwa.

Podaję do wiadomości, że, dążąc do likwidowania przestępczej działalności, w wypadku ujawnienia przekroczenia przepisów o prawie łowieckiem, będę z największą surowością stosował jednocześnie wysoką karę grzywny pieniężnej i aresztu.

Nadmieniam, że do walki z kłusownictwem powołana jest nietylko Policja Państwowa, lecz również i miejscowe władze samorządowe, a mianowicie pp. wójtowie i sołtysi.

Apeluję do wszystkich mieszkańców powiatu kaliskiego, aby osobiście przyczynili się do wytępienia kłusownictwa, podając do wiadomości Policji Państwowej, względnie P.P. Wójtów lub Sołtysów nazwiska osób, popełniających przestępstwa prawa łowieckiego (kłusowników i sidlarzy) oraz tych osób, które posiadają broń nielegalnie.

O wszelkich przekroczeniach prawa łowieckiego P.P. Wójtowie i Sołtysi będą natychmiast zawiadamiać najbliższy Posterunek Policji Państwowej.

Starosta powiatowy
(—) H. Ostaszewski.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 10 LISTOPADA 1936 R.

Obecni P. P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Maurycy Hr. Potocki, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Inż. Jan Grabowski, Dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, Inż. Karol Rotkel, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny:

1. Przyjęcie protokółów posiedzeń Wydziału Wykonawczego z dni 14 i 19 października r. b.
2. Projekt zorganizowania wystawy obrazów myśliwskich.
3. Sprawa statutu.
4. Sprawy bieżące.
5. Wnioski.

Protokóły posiedzeń Wydziału Wykonawczego: zwyczajnego — z dnia 14 października i nadzwyczajnego — z dnia 19 października r. b. przyjęto bez dyskusji.

Specjalnie zaproszony na posiedzenie P. Red. Stefan Krzywoszewski przedstawił projekt zorganizowania wystawy obrazów myśliwskich, zaznaczając, iż występuje z tym projektem po uprzedniem porozumieniu się z władzami Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych, które odniosły się do tej sprawy jak najprzychylniej. Wystawa ta mogłaby być urządzona na wiosnę roku przyszłego. Miałaby ona na celu zgromadzenie dzieł sztuki zarówno dawniejszych, jak i prac młodych malarzy, dla których stanowiłaby zachętę do zainteresowania się tematami myśliwskiemi. Koniecznem byłoby poparcie realizacji tego projektu ze strony Związku. Gdyby poparcie to nie mogło wyrazić się w pomocy finansowej, to w każdym razie Związek posiada duże możliwości propagandowe, może wiele zdziałać zapomocą odpowiednich artykułów i odezw w „Łowcu Polskim", nadto zaś przez ułatwienie młodym adeptom sztuki dostępu na tereny łowieckie, aby bezpośrednio zetknęli się z krajobrazem i zwierzyną, by je zrozumieli oraz wyczuli ich piękno i poezję.

W dyskusji zabierali głos P.P.: Hr. Potocki, Red. Garczyński, Inż. Knothe i Prof. Gieysztor.

Inicjatywę urządzenia wystawy obrazów myśliwskich uznano za nader celową, zwłaszcza wobec przewidywanego udziału Polski w Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w roku przyszłym w Berlinie, gdzie w pawilonie polskim, oprócz trofeów, winny znaleźć się dzieła sztuki.

Wydział Wykonawczy postanowił projekt P. Krzywoszewskiego poprzeć wszelkiemi rozporządzalnemi środkami.

Wystawę obrazów postanowiono udekorować trofeami i przeznaczono na tę wystawę nagrody w postaci medali.

Dla przygotowania i realizacji planu akcji ze strony Związku powołano Komisję w osobach P. P.: Red. Krzywoszewskiego — jako Przewodniczącego, oraz Hr. Potockiego, Prof. Gieysztora i Red. Garczyńskiego. Komisja ta porozumiewać się będzie z Towarzystwem Zachęty do Sztuk Pięknych.

P. Prof. Gieysztor zakomunikował, że w swoim czasie na jego wniosek Związek wystąpił do rektorów szkół sztuk pięknych z inicjatywą zainteresowania młodych malarzy tematami myśliwskiemi. Inicjatywa została przez rektorów tych uczelni przyjęta i można spodziewać się zorganizowania specjalnego Koła malarzy myśliwskich. Wskazane byłoby ze wszech miar poparcie Związku i dla tej sprawy.

P. Hr. Potocki wyraził gotowość zaproszenia na swe tereny jednego z młodych malarzy dla ułatwienia mu studjów nad tematami myśliwskiemi.

P. Red. Garczyński oświadczył, iż reprezentowane przezeń Kółka Łowieckie także udostępnią swe tereny dla młodych ma-

larzy i wyraził przekonanie, że inne Stowarzyszenia Związkowe również tego rodzaju poparcie zadeklarują.

Postanowiono zwrócić się w tej sprawie z apelem do wszystkich Stowarzyszeń Związkowych i umieścić odezwę w „Łowcu Polskim".

P. Red. Garczyński zakomunikował, że Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę zażądały wprowadzenia do projektu nowego statutu Związku szeregu poprawek. Obecnie Wydział Wykonawczy, na prawach Walnego Zgromadzenia Związku, winien poprawki te rozpatrzeć i uchwalić, poczem nowy statut zostanie niezwłocznie zatwierdzony przez Komisarjat Rządu.

W tej sprawie głos zabierali P. P.: Hr. Potocki, Inż. Knothe, Inż. Grabowski, Dyr. Śliwiński, Dylewski, Kamieński, Gędziorowski, Lisowski, Prof. Gieysztor, Inż. Sosonko, Inż. Rotkel, Prezes Szperling i Red. Garczyński, poczem P. Przewodniczący zamknął dyskusję i zarządził głosowanie.

Znaczną większością głosów postanowiono przystąpić do rozpatrzenia i uchwalenia poprawek, żądanych przez władze rejestracyjne.

Poprawki kolejno referował P. Red. Garczyński.

Wydział Wykonawczy, na prawach Walnego Zgromadzenia Związku, poprawki te uchwalił, postanawiając oświadczenie w tej sprawie do Komisarjatu Rządu przedłożyć do podpisu P. Prezesowi Generałowi Sosnkowskiemu.

Wydział Wykonawczy postanowił ogłosić w „Łowcu Polskim" następujące kandydatury na Delegatów Związku:

w województwie kieleckiem —

Dzianott Zygmunt, dr. — Miechów, Giebułtów, Kleszczyński Józef, inż. — Proszowice, Jakubowice — obaj na powiat Miechów;

w województwie warszawskiem —

Burczak-Abramowicz Seweryn — Szymanów, Skotniki — na powiat Sochaczew.

Przyjęto do wiadomości rezygnację p. Wiktora Wcisły z mandatu Delegata Związku na powiat Równe województwa wołyńskiego.

Wydział Wykonawczy nadał

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej

Stefanowi Morawskiemu, Staroście Powiatowemu w Sierpcu (woj. warszawskie) — za zasługi na polu podniesienia kultury łowieckiej.

Zgodnie z wnioskiem Związku Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych ustaliło nowy typ druków kart łowieckich, który obowiązywać będzie od dnia 1 marca r. 1937. Wydane dotychczas karty łowieckie 3-letnie mają być przed tym terminem wymienione na nowe za opłatą 8 groszy.

Nadesłane na prośbę Związku przez Ogólnopolski Obywatelski Komitet Zimowej Pomocy Bezrobotnym informacje w sprawie składania ofiar w postaci upolowanej zwierzyny — ogłoszone zostały w „Łowcu Polskim" wraz z odezwą do myśliwych.

Wydział Wykonawczy zatwierdził opracowany przez P. Red. Garczyńskiego projekt zmian wzorowego statutu podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania.

Postanowiono projekt ten złożyć Ministerstwu Spraw Wewnętrznych wraz z ponownym memorjałem w sprawie potrzeby obniżenia norm wymienionego podatku.

AUDYCJA RADIOWA „RYKOWISKO JELENI".

Doczekaliśmy się nowej audycji radjowej z rykowiska jeleni, z dawna zapowiadanej. Już w lipcu i sierpniu prasa radjowa oraz codzienna podawały luźne notatki o mającej montować się audycji, potem ukazały się dalsze wiadomości, że rykowisko zostało już w pomyślnych warunkach nagrane na płytach, a potem cisza!

„Spaliło na panewce" — pomyślał każdy, interesujący się tą audycją, gdyż wiadomo, jak trudno ubić dobrego byka podczas rykowiska, a cóż dopiero zwabić go na podejście w pobliże mikrofonów w lesie. W czasie godów bowiem nie chodzi mu po głowie produkować się wspaniałym tenorem, czy prawdziwym basem przed radjosłuchaczami — woli śpiewać (czytaj ryczeć) wybrankom swoim w ukryciu, zdala od widzów, potężną pieśń miłosną.

Toteż nietylko przyrodnik i myśliwy, ale każdy, kto choć raz zetknął się bezpośrednio z przyrodą, zrozumie jakiego trudnego zadania podjęła się Rozgłośnia Pomorska, montując teatr wyobraźni, żywcem wzięty z dzikiej puszczy. Już rok temu rozgłośnia ta pokusiła się o nagranie rykowiska jeleni. Zapytany o poradę fachową w tej sprawie, ustosunkowałem się do imprezy tej indyferentnie, znając dobrze trudności polowania na jelenie.

Nagranie zeszłoroczne udało się dobrze, mimo niekorzystnych warunków atmosferycznych, a Rozgłośnia Pomorska, zachęcona tym sukcesem, pragnęła ponownie nagrać w bieżącym roku rykowisko, którego techniczne wykonanie miało być zdyskontowaniem ubiegłych doświadczeń. Dobrze również zrobiono, powierzając techniczną stronę tej audycji oraz reportaż Józefowi Wysockiemu, który, nabrawszy z zeszłorocznej transmisji rykowiskowej sporo doświadczenia natury technicznej, wywiązał się z przyjętego na siebie zadania niemal że bezbłędnie (o bardzo drobnych usterkach wspomnę na końcu).

Udanie transmisji ułatwiło niewątpliwie również auto transmisyjne, postawione do dyspozycji Rozgłośni Pomorskiej przez Polskie Radjo w Warszawie, oraz zainstalowane specjalnie czułe mikrofony. Słowem tak Centrala Warszawska, jak również Rozgłośnia Pomorska, starały się wszelkiemi udogodnieniami przyczynić do zupełnego udania się tak trudnej audycji.

Cóż usłyszeliśmy? Z początku ciche, przytłumione poryki z oddali: to byk, niespokojnie wędrując po kniei, natrafił na świeże ślady stadka łań. Porykując zcicha, chciwie wchłania woń tych tropów. Ryk silniejszy, krótszy, gniewny. Spostrzegł pośród śladów trop pana haremu — rywala. Przyśpiesza kroku. Coraz bliżej jest mikrofonu, coraz wyraźniejsze są ryki. Wtem, czując w pobliżu stado, rzucił gniewne wyzwanie, a z głębin leśnych odpowiada echo i razem z echem śmiała odpowiedź rywala — władcy chmary. Wyzwanie przyjęto. Wtem słychać głuche trzaski, jak gdyby uderzały o siebie 2 laski; coraz głośniej, coraz silniej: to obaj rywale, szeroko rozstawiwszy badyle, z głowami pochylonemi naprzód, z poplątanemi wieńcami, mocują się i prą naprzód, a pozycje ich zmieniają się błyskawicznie. Coraz gwałtowniej i silniej słychać szczęk oręża. Każda strona stara się wykorzystać moment niebaczny, by módz uderzyć w słabiznę przeciwnika.

Wtem jedno zręczniejsze i silne uderzenie jelenia miejscowego. Przeciwnik zwala się z przednich badyli, zdołał jednak zręcznie umknąć śmiertelnego ciosu miejscowego byka i pomknął szybko w bezpieczny gąszcz. A za nim silny i groźny w swej potędze ryk tryumfu pana chmary głosi wszystkim zwierzętom okolicy zwycięstwo nad intruzem. Coraz silniej i namiętniej następuje ryk po ryku, a tylko gdzieś w oddali słychać to tu, to tam, przytłumione i nieśmiałe porykiwania jeleni-sekundantów, które, pomne na lekcję, może niedawno również i im udzieloną przez kapitalnego jelenia, nie śmią zbliżać się w orbitę władztwa mocarza tej kniei.

W audycji radjowej z dnia 15.XI. b. r. mieli myśliwi-radjosłuchacze bodaj że wszystko. Przysłuchując się wspaniałym rykom jeleni, uzupełnionym barwnym reportażem i objaśnieniami, przeżyć mogli w duchu jeszcze raz własne tryumfy łowów tegorocznych i snuć marzenia o łowach przyszłych.

Ale audycja ta miała coś więcej jeszcze od łowów codziennych i od pięknych opisów w feljetonach, mianowicie brak było tego tak codziennego, a może trochę oklepanego i frazeolo-

gicznego zakończenia: „suchy trzask mego Mannlichera przerwał ciszę wieczoru i zwalił potentata kniei". Ten właśnie strzał, jako epilog pięknego przeżycia, wywołuje często niesmak, którego zaoszczędzono nam, słuchaczom-myśliwym, podczas audycji rykowiskowej.

Jako przyrodnik i myśliwy zawodowy, polujący już wiele lat, muszę przyznać bezstronnie, że przeprowadzenie audycji było bezbłędne, reportaż ujęty barwnie i ze znajomością rzeczy, wyjaśnienia trafne, zawsze odpowiednie i tak doskonałe, że często posądzić można było jelenie o zmowę ze sprawozdawcą. W imię jednak prawdy podnieść muszę, że w kilku wypadkach szwankowała nieco gwara myśliwska. Nie gniewaj się na mnie, kochany Redaktorze, ale sam Pan wie, że my myśliwi mamy odrębny język łowiecki, którego wyuczyć się doskonale pewnie nikt nie potrafi. A więc jeleń ma „gębę", a nie „pysk", a o 12-ku nie mówi się „koronny" czy „niekoronny"; 12-tak to 12-tak, a odróżnienie koronnego od niekoronnego stosuje się jedynie do 10-taków.

To drobne zresztą były usterki, większe „ale" mam do Wydziału Programowego Polskiego Radja. Jak nie nadaje się muzyka Wagnerowska do audycyj porannych, kiedy każdy śpieszy do zajęcia, a muzyka dancingowa z kabaretową konferansjerką do programu niedzielnego o godz. 10-tej, tak audycji z rykowiska nie należało nadawać o godz. 14-tej. Każdy myśliwy jest potrosze romantykiem i każdy z nich, który słuchał tej audycji, chciał wczuć się w ten teatr wyobraźni kniei, pragnął wespół ze sprawozdawcą w zupełności wsłuchiwać się w poszum kniei i ryk jeleni, chciał w wyobraźni jeszcze raz przeżyć minione emocje łowieckie podczas godów potentata kniei. Chciał słuchać rykowiska o tym czasie właśnie, kiedy odbywa się „in natura", a więc wieczorem.

By nie być gołosłownym w powyższem twierdzeniu, nadmieniam, że jeden ze znajomych myśliwych, słuchając ubiegłego roku audycji rykowiskowej o godz. 22-tej, kazał w czasie tej audycji zgasić światła w pokoju, by „w oświetleniu naturalnem" lepiej wczuć się w płynące z głośnika odgłosy przyrody. Niestety, fatalnie wybrana godzina audycji tegorocznej popsuła nieco nastrój, jaki mogłaby wywołać w 100%-ach, gdyby umieszczona została w programie w godzinach wieczornych.

Tych parę uwag napisałem „sine ira et studio" poto, by ewentualnie i przyszłe audycje przyrodnicze, nadawane w latach następnych i wędrujące również śladem zeszłorocznej transmisji rykowiskowej, nawet aż za ocean, wywołały tam taki efekt i tak wielkie uznanie, na jakie rzeczywiście zasługują.

DR. INŻ. LEON OSSOWSKI

RZADKI WYPADEK Z DZIKIEM.

Czuję się poniekąd w oobwiązku podzielić się z czytelnikami „Łowca Polskiego" wiadomością o rzeczywiście dziwnym wypadku, który wydarzył mi się z dzikiem. Pod koniec lutego, przy wspaniałej słonecznej pogodzie, a jeszcze wspanialszej ponowie, która myśliwego jakąś nieznaną siłą wprost ciągnie na grubego zwierza do kniei, nie mogem się oprzeć pokusie pojechania na „deptanego" dzika. Pogoda była wprost wiosenna, słońce przypiekało, a śnieg był taki puszysty, że szło się po nim, jak po wspaniałym kobiercu, bez najmniejszego szelestu.

Trudno opisać niesłychane emocje, przeżywane w kniei podczas tak wspaniałej pogody i przy takiej ponowie, gdy gajowi zaraportują, że są obcięte w różnych miejscach aż trzy potężne odyńce. Podchodzenie do legowiska i odczytywanie licznych „słupów", wskazujących, że lada chwila czarna bestja może wyprysnąć z mrowiska przy najbliższym chojaku, nie da się wprost opisać.

Wobec niemożliwości barwnego opisania tych wzruszeń, powiem tylko, że miałem do południa na rozkładzie aż dwa piękne odyńce, które, zawdzięczając Heymowskiej kuli i nerwom, wziętym w karby, udało mi się szczęśliwie w puszystym śniegu ułożyć. Pozostawał trzeci, który po bliższem obejrzeniu śladów nieznacznie farbował. Nie bardzo byłem z tego zadowolony, gdyż obiecałem sympatycznemu, początkującemu, choć niebardzo młodemu myśliwemu, że go podprowadzę do barłogu, a rzecz wiadoma, że podchodzić do rannego dzika jest bardzo niebezpiecznie.

Myśliwy ów mógł przyjechać dopiero po południu i dlatego z bardzo niewyraźną miną siedziałem na saniach i czekałem na niego. Po dość długiem oczekiwaniu nareszcie nadjechał, poczem nie zwlekając zaczęliśmy iść za śladem. Ponieważ, jak stwierdziłem, dzik był ranny, uprzedziłem mego towarzysza, że to nie przelewki, że musi dobrze uważać, jeszcze lepiej mierzyć, trzymać się we wskazanem oddaleniu równolegle ze mną i robić to samo, co ja robić będę. Zdawało mi się, że nie bierze tego zupełnie poważnie do serca. Ruszyliśmy powoli, gdyż śnieg był dość głęboki, ale niedługo przekonałem się, że mój towarzysz jakby się wahał, ciągle się ociągał, wskazywał mi ręką na różne ślady, które mijaliśmy, zwracając niby moją uwagę, że idę złym śladem i t. p. W rezultacie najwyraźniej skonstatowałem, że stracił conajmniej 50% animuszu, a ten procent ogromnie się zwiększał z przybliżaniem się do barłogu, gdyż szliśmy dość długo i udało mi się szczęśliwie odcyfrować pierwszy „słup". Oczywiście tylko ruchami dawałem mu do poznania, że się nie mylę, że idę dobrym śladem, że wreszcie barłóg musi być niedaleko.

Animusz był coraz mniejszy i tylko zawdzięczając moim energicznym kiwaniom ledwo się posuwaliśmy. Wreszcie na czystym lesie zobaczyłem najwyraźniej czarną plamę na śniegu, zwiastującą dzika w rozrytem mrowisku. Ukazując palcem dane miejsce, zachęcałem mego towarzysza do podejścia jeszcze kilkadziesiąt kroków, lecz na nic były wszelkie migi-perswazje, stał nieruchomy na miejscu, a dzik widocznie nas spostrzegł i, mając dosyć tej pantominy, wyprysnął z mrowiska, a ku memu przerażeniu, sunął w dużych susach nie w przeciwnym kierunku, lecz wprost na mego towarzysza, który stał w miejscu, jak słup soli. Krzyczę doń, by spokojnie czekał, mierzył dobrze i strzelał, a sam starałem się opanować nerwy i jak najspokojniej do strzału się przygotować.

Niestety, nietylko entuzjazm ale i spokój znikł zupełnie, gdyż na ogromną metę pada dwa strzały, na które dzik najmniejszej uwagi nie zwraca i sunie dalej już na bezbronnego myśliwego. Wtedy, widząc już nieuniknione niebezpieczeństwo zrulowania myśliwego przez dzika za parę sekund, strzelam raz i drugi, dzik się załamuje, ale nie pada, natomiast skręca na miejscu i już w wolniejsezm tempie sunie kłusem w kierunku na lewo od nas. Muszę przyznać, że w tej chwili tylko mi o to chodziło, by ta bestja zmieniła kierunek i nie zrulowała mego towarzysza; żal niezrulowania dzika na miejscu nie przyszedł mi nawet na myśl.

Po ochłonięciu z wrażenia idziemy na ślad. Mój towarzysz, który nabrał dziwnie zielonych kolorów, oniemiał zupełnie. Widzimy silną farbę z jednej i z drugiej strony śladu. Ponieważ słońce już zachodzi, a farba jest bardzo silna, byłem przekonany że gajowi zastaną rano dzika martwego, dlatego poleciłem im dziś za śladem już nie iść, a jutro rano we dwóch dzika wytropić. Sami zaś musieliśmy tego wieczoru wracać do domu.

Na drugi dzień rano, stosownie do polecenia, gajowi poszli za śladem. Im dalej, tem coraz mniej było farby, a najwyżej o kilometr spostrzegli dzika, leżącego w mrowisku. Starszy gajowy, ostrożnie skrywając się za drzewami, podszedł zupełnie blisko i strzelił do leżącego dzika. Dzik ani drgnął i pozostał w miejscu.

Zdawałoby się, że na tem powinno się to opowiadanie skończyć, a tu dopiero zaczyna się „niesamowitość". Po strzale podchodzi drugi gajowy i, widząc leżącego dzika w barłogu, mówi: „o, to sztuka zabić trupa" — i zapalają papierosa, nie podchodząc jeszcze do owego „trupa". W tej samej chwili dzik wyskakuje z barłogu i błyskawicznie szarżuje na gajowych, którzy zawdzięczają ocalenie jedynie niskiej gałęzi, wiszącej nad ich głowami, którą instynktownie uchwycili, podrywając się do góry, a dzik, jak błyskawica, pod nimi przeleciał i — co najdziwniejsze — chodzi po dziś dzień w jak najlepszem zdrowiu, gdyż o ile można było skonstatować, moja kula trafiła go w podgardle, które z początku bardzo silnie na obie strony farbowało. Pierwsze skaleczenie było prawdopodobnie również w podgardle, prawie zagojone, tuż obok mojej kuli.

Koniec końców szczęśliwie raz po razu z tym samym dzikiem zakończyły się dwa spotkania, które mogły przybrać tragiczny obrót.

J. D. K.

X-CIOLECIE LUBELSKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO.

31 października b. r. odbyło się Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Towarzystwa z racji obchodu X-ciolecia jego istnienia.

Na Zgromadzenie przybyli licznie obecni i byli członkowie T-wa z Lublina i okolicy, tudzież zaproszeni goście, a w ich liczbie delegat P. Z. S. Ł. p. K. Stalewski i przedstawiciele: Oficerskiego Koła Myśliwych garnizonu Lublin, p. kpt. Ćwiertnia i Towarzystwa Łowieckiego im. św. Huberta w Lublinie, p. dyr. Z. Kozłowski.

Zebranie otworzył Prezes T-wa p. L. Radliński następującem przemówieniem:

„W dniu dzisiejszym święcimy X-ciolecie istnienia naszej organizacji. 10 lat temu powstał Komitet, złożony z pp.: Ludwika Bissenika, Antoniego Bulzackiego, Stanisława Jasińskiego, Leona Radlińskiego, Romualda Ratyńskiego i Ignacego Wysockiego, w celu zapoczątkowania na terenie Lublina zrzeszenia myśliwych, które skupiłoby wszystkich tych niezrzeszonych, dla których racjonalne łowiectwo i umiłowanie przyrody nie jest pustym dźwiękiem lub dawno przebrzmiałem echem. 9 lipca 1926 roku zwołano zebranie organizacyjne, na które wysłano kilkanaście zaproszeń do osób, znanych w naszem mieście z zamiłowań łowieckich.

Na zebraniu, poza członkami Komitetu, zgłosili swój udział, jako członkowie-założyciele pp.: inż. Bronisław Breza, Tadeusz Fijut, Maurycy Garwoliński, inż. Felicjan Jackowski, Antoni Miller, inż. Franciszek Papiewski, Wiktor Różański. Sławomir Rubaszkiewicz, Kazimierz Wachowicz i Piotr Zabrodzki.

Przewodniczył zebraniu p. L. Bissenik, sekretarzował p. S. Jasiński.

Zebrani powołali Komisję w skład której weszli pp.: A. Bulzacki, L. Radliński i R. Ratyński, której powierzono opracowanie statutu i regulaminu polowań i przedłużenia ich na zebraniu następnem. Jednocześnie zebranie upoważniło wymienioną Komisję do zakontraktowania kilku terenów łowieckich i uchwaliło na ten cel składkę miesięczną po 5 zł.

Prace statutowe i regulaminowe, a także najem terenów, prowadzone równolegle, poszły w tempie przyśpieszonem, z uwagi na zbliżający się sezon łowiecki.

Już na zebraniu następnem, zwołanem w dniu 26 października 1926 roku, zatwierdzono statut i regulamin polowań, oraz dokonano wyboru władz.

Pierwszy Zarząd stanowili pp.: Leon Radliński — Prezes, Antoni Bulzacki — skarbnik, Maurycy Garwoliński — sekretarz, Romuald Ratyński — łowczy i Felicjan Jackowski — podłowczy. Do Komisji Rewizyjnej powołani zostali pp.: Ludwik Bissenik, inż. Bronisław Breza i inż. Franciszek Papiewski.

W momencie ukończenia prac organizacyjnych liczyliśmy 16 członków rzeczywistych i posiadali, poza terenem Wilkołaz, o przestrzeni 846 ha, przekazanym nam bezinteresownie przez Komitet, jeszcze dwa tereny: Babin i Ożarów o powierzchni 1.478 ha, czyli razem dzierżawiliśmy 2.324 ha terenów łowieckich z dobrym zwierzostanem.

Taki był stan faktyczny przed laty 10-ciu.

Okres ubiegły, choć stosunkowo niedługi, to jednakże poważny szmat czasu, w którym, pomimo trudności wszelkiego rodzaju, grono zamiłowanych myśliwych ciągle szło naprzód i kładło fundamenty dla rozwoju Towarzystwa.

Zmieniały się Zarządy, zmieniali się i członkowie (127 w okresie 10-cioletnim), a naczelna nasza idea — dobro i rozwój łowiectwa — były dla wszystkich, jakby przykazaniem. Tyloletnie usiłowania nie poszły na marne, a oczekiwane wyniki naszej pracy osiągnięto, dzięki bowiem obecnemu stanowi liczebnemu, a także racjonalnej gospodarce łowieckiej, zaliczani jesteśmy do jednego z przodujących w Lublinie Towarzystw myśliwskich.

U progu nowego X-ciolecia liczymy 43 członków i posiadamy zgórą 16.000 ha zagospodarowanych terenów łowieckich, a w tem tak przepiękną pod względem fauny i flory knieję, jaką bezsprzecznie jest Krzczonów i Chmiel.

Wytrwale i zdecydowanie dążyć musimy do zjednoczenia świata myśliwskiego i podniesienia gospodarki łowieckiej na poziom najwyższy. Trudności, jak zwykle zresztą w życiu zbiorowem, zapewne uniknąć się nie da, lecz gdy z uporem przełamywać je będziemy, sądzę, że cel nasz osiągniemy.

W uroczystej dla nas chwili dzisiejszej, zwracam się do wszystkich tu obecnych pp. Myśliwych z apelem, aby dopomogli Zarządowi do urzeczywistnienia naszych idei, a tem samem dalszego rozwoju naszej organizacji, z takim trudem zbudzonej i utrzymanej dla dobra łowiectwa.

Św. Hubertowi i Jego Wyznawcom — cześć!"

Następnie zabierali głos delegat P. Z. S. Ł. i przedstawiciele organizacyj myśliwskich, życząc T-wu dalszego pomyślnego rozwoju. Mówcy pośród obecnych i byłych członków dali wyraz umiłowaniu łowiectwa i przyrody i nie szczędzili życzeń dla osiągnięcia naczelnej idei T-wa, jaką jest zorganizowanie świata myśliwskiego i racjonalna gospodarka łowiecka.

Po posiedzeniu, w salonach Resursy Kupieckiej, odbyło się w nastroju iście myśliwskim zebranie towarzyskie, które dla uczestników obchodu pozostanie niezapomnianem echem ubiegłego dziesięciolecia.

L. R.

MYŚLIWY I „CYWILE" W TRAMWAJU.

Godzina czternasta. Jak zwykle, siadam do „4" na Wałach Hetmańskich, aby dostać się do domu na obiad i jak zwykle — przepełnienie. Dyrekcja tramwajów lwowskich uważa, że wozy muszą być wykorzystane w każdym centymetrze sześciennym. Tym razem jest sensacja. Jakiś starszy pan trzyma w ręku żywą kuropatwę. Biedny, wystraszony ptak, nie stara się uwolnić i jest prawie nieruchomy. Czyżby ptak został złowiony na lwowskich brukach i teraz tryumfalnie jest wieziony do domu przez zdobywcę? Nie, wręcz przeciwnie, właśnie starszy pan opowiada z przejęciem swemu sąsiadowi, jak przed chwilą, przechodząc przez rynek koło ratusza, spotkał kmiotka, który sprzedawał żywe kuropatwy. Miał tylko jeszcze jedną. Starszy pan kupił ją za 90 groszy i postanowił wypuścić na peryferjach miasta. Kmiotkowi polecił wynieść się, gdzie pieprz rośnie, jeżeli nie chce spotkać się z policją. Teraz starszy pan ubolewał ze swym sąsiadem, jak to oni myśliwi, polując często całemi dniami, nie widzą jednej kury, a kmiotkowie spokojnie łowią na sidła i do miasta przynoszą. — Tu trzeba wtrącić ubolewanie, że starszy pan tylko pogroził kmiotkowi policją, zamiast groźbę w czyn wprowadzić.

Tymczasem w tramwaju, jak już wspomniałem—sensacja. Bezmała wszyscy jadący dopytują się co to za dziki ptak, krajowy czy zagraniczny, z południa czy z północy, tani czy drogi, no i czy dobry do jedzenia, a ktoś się pyta czy śpiewa. Ten i ów zbliża się, aby dokładnie się przypatrzyć, a każdy podziwia. — Nie wiem, czy hipopotam w ręku starszego pana zrobiłby większe wrażenie. — Na pozór błahe zdarzenie, ale jakże charakterystyczne! Przeciętny „cywil" ze zdumieniem ogląda żywą kuropatwę, szarego ptaka, o którym przecież słyszeć musiał, a zapewne i widział na wystawach sklepowych, jeno już zabite.

Jaka olbrzymia przepaść pomiędzy starszym panem, myśliwym, a „cywilami", w ustosunkowaniu się do żywej przyrody. Ów brak najprostszych wiadomości o niej i znajomości jej przejawów, jakże jest charakterystyczny.

Ten błahy obrazek, o który w naszych stosunkach nietrudno, nietylko we Lwowie, ale w każdem innem mieście, uzasadnia bardzo przekonywująco, jak dalecy są „cywile" od spraw myśliwskich w szczególności, a spraw żywej przyrody dotyczących w ogólności. A właśnie często, nawet bardzo często zdarza się, że właśnie tacy 100% „cywile" lubią nietylko głos zabierać i szeroko rozwodzić się, ale gotowiby ustanawiać prawa niewzruszalne dla dziedziny, o której najczęściej pojęcia nie mają. Wydarzenie w lwowskim tramwaju z żywą kuropatwą doskonale stosunki te obrazuje.

JERZY BŁESZYŃSKI

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

R. Wacek: *Darz Bór*. Lwów 1936, str. 87. Autor tej najnowszej publikacji myśliwskiej jest pasjonowanym myśliwym od najwcześniejszych swych lat, znany szerokim warstwom społeczeństwa także jako zapalony sportowiec, poza tym lwowski „belfer" gimnazjalny, przed którym wyjątkowo uczniowie nie uciekają na ulicy. Dobre ma serce, nie dziwota, przecież całą duszą kocha przyrodę, jest myśliwym w szlachetnym tego słowa zrozumieniu.

„Dla mnie — pisze Wacek na 87 stronicy — myślistwo pozostanie sportem najwyższej klasy, mimo iż nie dało mi ono ani puharów, ani odznaczeń, jakimi mogę się poszczycić na polu saneczkarstwa lub kolarstwa, jeszcze sprzed wojny. Dla mnie myślistwo pozostanie zawsze najpiękniejszym sportem, który bez oglądania się z mej strony na trudy i koszty, zbliża mnie do natury, pozwala mi z nią obcować, na jej łonie ćwiczyć swe ciało, hartować ducha. Dla mnie myślistwo pozostanie zawsze tym kochanym sportem, który każe pamiętać, iż 5-ty krzyżyk dawno minął, a czyni mnie młodym, idącym na podchód głuszca czy też jelenia — jak przed 25 laty." To też ogłoszony zbiór wspomnień myśliwskich cechuje szczerość, prawda i miłość, snuta jakby nić złota, na kanwie czarującej przyrody ojczystej. Nie są to wyskoki fantazji, ani temat gdzieś zasłyszany, ale własne przeżycia, skreślone wymownym piórem, a więc sympatyczne, a tym więcej, że zabarwione szczerym humorem, to znów wydzwaniające rzewną nutą, jak w rozdziale p. t. „Wspomnienia studenta", gdzie autor po odwiedzeniu starej rodzinnej leśniczówki, tak pisze:

„W ostatnich czasach tęsknota zaprowadziła mnie w tamte strony. Leśniczówka nasza stoi, jak stała przed laty, tylko z odwiecznego lasu dookoła niej nie pozostało ani śladu, wzrok ponad zręby sięga w dal... Z leśniczówki nie wybiegł „Nero" i „Filut", nie otwarł bramy stary woźnica Iwaśko, nie zachichotały Maryna i Jewka, nie pozdrowili w progu Mykieta lub Danyło. Na ganku nie uściskała Matka, spoza okularów nie spojrzały stalowe oczy Ojca... wszyscy w grobie! A z nimi poszedł i bór..."

Znałem te piękne i bogate lasy radziechowskie i tę leśniczówkę Wackową, bo to i moje strony rodzinne: Busk, Toporów, Łopotyn... znam też autora tych sympatycznych wspomnień prof. Wacka, z którym zgodnie stawierdzam, że gdybyśmy tak gospodarzyli w naszych prywatnych domach, jak to się dotąd dzieje na terenie lasów ojczystych — to byśmy szybko z torbą pod murem kościelnym zasiedli. Pozostały nam zręby...

Autor polował dużo i w różnych połaciach kraju, lecz sumienia swego nie obarczył grzechem wobec etyki łowieckiej; zawsze obcą mu była myśl sama o zdobywaniu tytułu króla polowania, choć i oko ma wprawne i śrut prosty w dubeltówce. Wacek — między innymi trofeami — ma w swym dorobku głuszca karpackiego i głuszca poleskiego i twierdzi, że te dwa ptaki zupełnie wystarczają jego ambicji myśliwskiej. „Sądzę — pisze — iż strzelanie rekordowe tych ptaków z myślistwem nie ma nic wspólnego". Tak! To jest credo człowieka, który prawdziwie ukochał knieję i mszary leśne...

„Darz Bór" posiada XV rozdziałów: Wspomnienia studenta. — Lis. — Po raz pierwszy w górach. — Kuna. — Jeleń. — Dziki. — Głuszec karpacki. — Głuszec poleski. — Polowanie w Karpatach Wschodnich. — Cietrzew. — Kozioł. — Kaczki. — Kuropatwy. — Słonki. — Zając. W rozdziałach tych zamknął Autor bogaty repertuar przeżyć i wrażeń myśliwskich. Świat łowiecki powinien być Wackowi wdzięczny za tę książkę pełną serca i podzięki imiennej dla tych, którzy mu radą, gościną i knieją służyli. Lecz już nie wszyscy, którzy wpłynęli na piękno tych wspomnień myśliwskich — czytać je będą. Większa ich część pełni wieczną wartę u bram myśliwskiego pałacu św. Huberta.

Wszechstronną ocenę z punktu realnej wartości tego wydawnictwa daje w przedmowie do „Darz Boru" — inż. W. Krawczyński, autor „Łowiectwa" (1924). Poza tym inż. Krawczyński porusza obszernie wartość myślistwa, potrzebę restytuowania gwary myśliwskiej oraz dopuszczenie młodzieży do kółek łowieckich. A o lesie, o tym kochanym lesie, którego tragedię uwidoczniła tegoroczna wystawa leśna we Lwowie, takie słowa czytamy w przedmowie: „Bo las jest cudownym lekarzem. Wszak las jest najpiękniejszym cudem spośród wszystkich cudów przyrody." Jakże mało jesteśmy godni cudów...

Książka „Darz Bór" udekorowana jest piórkowymi rysunkami w wykonaniu prof. K. Rutkowskiego oraz fotografiami: W. Puchalskiego, Z. Pourbaix, T. Marcinkiewicza i autora. Wspomnienia te poświęcił Wacek „Wojewodzie lwowskiemu, serdecznemu Towarzyszowi łowów i polowań".

Miłe te, pogodne i ciepłe epizody myśliwskie, zaczerpnięte z własnego życia, kończy autor akordem rzewnych strun Juliana Ejsmonda:

„Gdy wybije mej śmierci godzina,
Pochowajcie mnie w kniei zielonej...
Niech nade mną zaszumi gęstwina,
Hymn myśliwski radości minionej..."

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

Nr. 25. W. Fechter. *Zwalczanie epidemji robaków płucnych u zwierząt.* Siedliskiem i miejscem rozwoju płucnych nicio-robaków są płuca, wątroba oraz cały przewód pokarmowy. Zwalczanie tych szkodników powinno opierać się na historji ich życia; praktycznemi i skutecznemi zabiegami o zdrowy stan zwierzyny w rewirze są następujące:

1. Odstrzał wszystkich widocznie schorzałych objektów bez różnicy wieku i rodzaju. Ciężko chore sztuki są wychudłe, zmieniają kolor i późno linieją, chciwie jedzą i często kaszlą. Szczególnie ciężko chore są zwykle sztuki jednoroczne. Starsze natomiast łatwiej mogą przetrwać lżejsze choroby bez większych następstw. Odstrzeliwszy taką chorą sztukę, zalecane jest dokładne zbadanie płuc, wątroby i przewodu pokarmowego, a w wypadku znalezienia zwierzyny padłej, po uprzedniem zbadaniu — spalenie jej w całości. Ta obserwacja pozwoli nam wykazać, że w każdym niemal rewirze znajdą się siedliska zwierząt chorych, stanowiących źródło rozwoju płucnych pasorzytów.

2. Przeszkodzić rozwojowi tych szkodników można, stosując baczną ochronę wszystkich naturalnych wrogów ślimaków i wogóle robaków deszczowych, w których organizmie biorą początek swego życia płucne nicio-robaki zwierzęce. Najmniej chorobotwórczych ślimaków spotyka się w rewirach, utrzymanych w czystości, zwłaszcza zaś tam, gdzie wszelkie stawy, rzeki, strumienie i kanały są uregulowane.

3. Lizawki. Niepraktyczne w tym celu są lizawki trwałe; skuteczniejsze są cegiełki lub bryłki soli, możliwie licznie poukładane w rewirze, wzdłuż trasy, po której zwierzyna stale przechodzi oraz w ostojach.

Umieszcza się je zwykle w spróchniałych lub pustych pniach drzew, chroniąc nieco od deszczu. Do lizawek tych dodaje się oprócz gliny pozbawionej piasku następujące składniki: sól kamienną, trochę wapna, anyżu i kopru włoskiego oraz cały szereg lekarstw jak: *Cuprum chloratum, Cuprum sulfuricum, Ferrum pulv., Ferrum sulfuricum, Calcium phosphoricum* lub *Calcium chloratum.*

Chodzi tu o to, aby dostarczyć organizmowi chorego zwierzęcia jednocześnie wystarczającą ilość środków leczniczych w formie smacznego pokarmu. Z tego również względu pożądanem jest dodawać tak sporządzoną sól i do suchej paszy zimowej.

4. Czyszczenie żłobów, używanych do karmienia zwierzyny oraz całego karmiska, winno odbywać się jak najczęściej. Wszelkie pozostałości trzeba często usuwać żelaznemi grabiami, a wydzieliny zwierząt, które niejednokrotnie zawierają liczne larwy tych pasorzytów najlepiej jest po zebraniu spalić.

Te zabiegi, stosowane przez kilka lat, dadzą pożądany skutek.

S. M.

UROCZYSTOŚCI JUBILEUSZOWE WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W dniu 3 listopada b. r. upłynęło 30 lat istnienia Wielkopolskiego Związku Myśliwych (Oddz. Pol. Zw. Stow. Łow. w Warszawie) i tyleż lat żmudnej i wytrwałej pracy, poświęconej rozwojowi łowiectwa polskiego na naszych kresach zachodnich.

W związku z powyższem urządza W.Z.M. w dn. 24 stycznia 1937 r. uroczysty swój jubileusz, którego program w swoim czasie będzie podany przez prasę codzienną do ogólnej wiadomości.

Narazie zawiadamiamy sympatyków W.Z.M. oraz zainteresowanych, że w dniu wyżej oznaczonym m. i. imprezami odbędzie się otwarcie wystawy łowieckiej, obejmującej trofea, kowo dobre, dotąd nigdzie niewystawiane. Pozatem premjowane już na poprzednich wystawach i pokazach, oraz wyjątkowo dobre, dotąd nigdzie niewystawiane. Pozatem premjowane będą eksponaty z innych dzielnic Polski, zdobyte przez Wielkopolan, które, ujęte w stoiska i kolekcje, otrzymają również odznaczenia.

Z wystawą trofeów łowieckich połączona będzie również wystawa dzieł sztuki łowieckiej, jak obrazów, rzeźb, kilimów i t. p., znanych malarzy i rzeźbiarzy, które to dzieła również będą premjowane.

Eksponenci za metraż żadnej opłaty nie ponoszą — obowiązuje ich tylko koszt przesyłki i ubezpieczenie od ognia i kradzieży.

Ostateczny termin zgłoszeń eksponatów upływa z dniem 15 grudnia b. r. Eksponaty zgłoszone po tym terminie nie będą ujęte w katalogach. Formularze zgłoszeń otrzymać można w biurze Wlkp. Zw. Myśliw., ul. Młyńska 9 I p. w godzinach od 10-ej do 13.30.

Wszystkich P.P. Właścicieli znanych kolekcji trofeów myśliwskich najuprzejmiej zapraszamy do wzięcia udziału w tej wystawie, która wykaże dorobek w dziedzinie łowiectwa wielkopolskiego.

Z okazji jubileuszu ukaże się również Jednodniówka p. t. „Echa polskich łowisk" w nakładzie 1000 egzemplarzy o 100 stronach druku z ilustracjami. Na treść tego wydawnictwa składać się będą artykuły znanych pisarzy z całej Polski, których prace są już skompletowane.

STAN ZWIERZYNY W POWIECIE WILEJSKIM.

Ilość sarn zwiększa się z roku na rok, a przeważnie na terenach lasów państwowych oraz większych majątków.

Zwierzostan zajęcy szaraków wzrósł bardzo znacznie, zaś zajęcy bielaków prawie równy jest stanowi przedwojennemu, a nawet większy. Na bielaki polują tutaj przeważnie po zakończeniu sezonu na szaraki.

Kaczek w tym roku spotykało się znacznie więcej, niż w latach ubiegłych, a naogół stan ich bardzo się podniósł.

Toki cietrzewi choć słabe były na wiosnę, lecz stan jest dobry, zawdzięczając suchej wiośnie i b. suchemu latu. Widywano stadka po 7—12 sztuk, które w większej części zostały nienaruszone z powodu niepogody w okresie polowań.

Głuszców jest kilkakrotnie więcej, niż przed wejściem w życie ustawy łowieckiej.

Stan pardw poprawił się bardzo znacznie na terenach Kurzenieckiego Kółka Myśliwskiego, położonych w gminie wojstomskiej. Kółko to prowadzi tępienie drapieżników skrzydlatych na tych terenach. Na pozostałych stan pardw bez zmian.

Kuropatw mniej, niż w roku ubiegłym. Jarząbki są spotykane bardzo często.

Wilków sporo, rysie i borsuki spotyka się rzadziej, zaś lisów coraz więcej od roku 1934.

Drapieżników skrzydlatych jako to: jastrzębi-gołębiarzy, krogulców jest b. dużo; skupiają się przeważnie w miejscowościach gniazdowania i pobytu stadek cietrzewi, kuropatw, kaczek i innego ptactwa.

Nowością tegorocznego sezonu były b. duże ilości przepiórek, toteż ubicie 6—10 sztuk w czasie polowania na kuropatwy nie sprawiało dużej trudności.

Formalną plagę stanowią zdziczałe koty domowe, psy gończe, puszczane samopas, a utrzymywane przez chłopów-kłusowników, a także nieściganie zawodowych kłusowników.

WALERJAN STRZEMIŃSKI

KRONIKA MYŚLIWSKA.

W dniach 25 i 26 XI. odbyło się polowanie w Sokołowie pow. rypińskiego u P.P. Aleksandrostwa Płoskich. Ogółem zabito 1279 sztuk, w tem 1044 zające, 590 bażantów, 401 królików, 144 kuropatwy i 1 lisa.

W pierwszym dniu w 11 strzelb ubito 1203 sztuki, w drugim w 12 strzelb — 976 sztuk.

W porównaniu z ostatniemi polowaniami jest to rekord Sokołowa, choć cyfra zabitych zajęcy zmniejszyła się o przeszło 300 sztuk (w stosunku do roku 1934), natomiast podniosła się znacznie ilość zabitych królików i bażantów.

Najwięcej na rozkładzie miał p. Tadeusz Siemieński z Czaryża (259 sztuk), dalej Henryk baron Maltzau i p. Jan Koźmian.

— W dniu 22.10. b. r. odbyło się polowanie w maj. Nieczajna u p. Jerzego Turno. Opolowano w 8 strzelb w 12-tu pędzeniach około 90 ha małych lasków i remiz, przy niesprzyjającej, mokrej pogodzie i ubito: 142 bażanty-koguty, 6 kuropatw, 1 gołębia siniaka, 106 zajęcy, 49 królików. — Razem 304 sztuki.

Polowanie prowadził generalny pełnomocnik dóbr objezierskich, p. Ludwik Jażdżewski, którego troskliwej opiece nad zwierzostanem, zawdzięczają myśliwi ten piękny rozkład.

— W dniu 7 listopada br. odbyło się polowanie na bażanty u p. Tadeusza Pruskiego w maj. Dyblin pow. lipnowskiego, przy udziale czterech myśliwych. Ubito 112 bażantów-kogutów.

— W dniu 12 listopada br. odbyło się polowanie na bażanty u p. Władysława Niedźwieckiego w maj. Wierznica pow. lipnowskiego, przy udziale sześciu myśliwych. Ubito 150 bażantów-kogutów. Najwięcej na rozkładzie miał p. Konstanty Koschembar Łyskowski z Komorowa (43 koguty).

— Dnia 26 października 1936 r. odbyło się polowanie w Krzesimowie, pow. lubelski, własność p. Kazimierza Dreckiego. W 10 strzelb ubito 2 lisy, 2 kszyki, 12 kaczek, 43 kuropatwy, 142 zające i 315 bażantów, — razem 516 sztuk.

— Dnia 3 października b. r. odbyło się polowanie tylko na pędzone kuropatwy w dobrach Ustków, powiat turecki, u pp. Stanisława i Zdzisława Kamockich. Podniesiono około 700 sztuk, przyczem czterech myśliwych z p. Andrzejem Potworowskim na czele miało po przeszło 100 sztuk na rozkładzie.

— 7.XI. b. r. w Rybniku, własność p. Edmunda Skarżyńskiego, w 14 strzelb ubito 2 lisy, 37 bażantów, 184 zające i 146 kuropatw; razem 369 sztuk.

— W Korzenistem, pod Łomżą, własność spółki „Korzeniste", polowano w polu 21 listopada w 11 strzelb i pół dnia 23 listopada b. r. w lesie w 7 strzelb. Podniesiono ogółem: 2 lisy, 40 bażantów, 95 kuropatw i 180 zajęcy; łącznie 317 sztuk.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. **TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98.** **KONTO P. K. O. 8082.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

NA SEZON ZIMOWY



polecamy

znakomite naboje śrutowe
W. S. M. „Jubileuszowe"
ładowane pierwszorzędnym
bezdymnym prochem „Sokół"

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PROCHU W PIONKACH

SPRZEDAŻ w WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ
w Warszawie
ul. Królewska 17

i w ODDZIAŁACH:

Poznaniu	Lwowie	Wilnie
Pierackiego 12,	Plac Marjacki 4,	Wileńska 10

ORAZ WE WSZYSTKICH SKŁADACH BRONI



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:
G. Defourny-Sevrin à Liege
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „
Sztucery, Trójlufki
G. Defourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

JAKÓB MAREK

MAGAZYN OBUWIA
Warszawa, Bielańska 22
TELEFON 12-18-05
Rok założenia 1869

POLECA
BUTY MYŚLIWSKIE
w cenie od 90 zł.



DWA RAZY DAJE, KTO SZYBKO DAJE!

SKŁADAJCIE JAK NAJ-RYCHLEJ OFIARY NA
POMOC ZIMOWĄ DLA BEZROBOTNYCH
KONTO P. K. O. Nr. 70.200 POMOC ZIMOWA.

PRACOWNIA

WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT
ORAZ OPRAWA ROGÓW, WYPRAWA SKÓR I ROBIENIE DYWANÓW

WIKTORA ŁASTOWSKIEGO

Warszawa, Krakowskie - Przedmieście Nr. 10 m. 7
(wprost kościoła Ś-go Krzyża) Telefon 686-78



SKŁAD BRONI I AMUNICJI

Rusiecki i Dziedzic

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA Nr. 97
w pobliżu Dworca Głównego
TELEFON 728-13

POLECA: DUBELTÓWKI, SZTUCERY, KARABINKI I PISTOLETY PIERWSZORZĘDNYCH FABRYK ORAZ DUŻY WYBÓR BRONI OKAZYJNEJ

WŁASNE WARSZTATY RUSZNIKARSKIE WYKONUJĄ WSZELKIE NAPRAWY SZYBKO DOKŁADNIE i TANIO

OZNAKI

„STRAŻNIK ŁOWIECKI"

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę

poleca:

Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N.-Świat 35

Bażanty, dzikie **króliki,** oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca **Zarząd Lasów XX Czartoryskich w Babkach** poczta **Krzesiny,** Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

Kupuję żywe bażanty, kuropatwy etc. Bażantarnia Noack-Gr. Särchen Kr. Sorau. Niemcy.

Leśnik, poznańczyk, z 8 letnią praktyką, biegły praktyk w leśnictwie, hodowli bażantów i zwierzyny, plantacji wikliny, tępienia drapieżników i kłusowników, dobry strzelec, siła energiczna, obowiązkowa i uczciwa, o dobrych świadectwach, poszukuje posady. Zgłoszenia „Łowiec Polski" dla „Biegły Nr. 2078".

Leśniczy, poznańczyk, lat 32, silny, zdrów, doświadczony fachowiec, z 13-letnią praktyką, uczciwy, obowiązkowy i energiczny, wiadomości wszechstronne z gospodarki leśnej, książkowości i kasowej, oraz sztucznego wychowu bażantów. Świadectwa i polecenia bardzo dobre. Wymagań skromnych. Miejscowość obojętna. Podać warunki. Poszukuję posady leśniczego-kontrolera, ewentualnie borowego-strzelca i t. p. J. Sokowicz, Kaczanowo 55, poczta Września, (Poznańskie).

Sprzedam sukę bronzową z rodowodem, wiek $2^1/_2$ lat, dobrze ułożona, oraz 2 szczeniaki (psy) 5 miesięczne, dobrego pochodzenia, rasa szorstkowłosa niemiecka. Franciszek Mruk, Żakówek, poczta Dłutów, powiat Łask, Łódzkie.

Sztucer podwójny, 11 mm. kurk., Sauer Suhl zamienię na dubeltówkę bezkurkową kal. 12 lub 16. W. Litwiński — Brzezinka, pow. Katowice.

10 myśliwych szuka dzierżawy terenu łowieckiego na Polesiu lub Wołyniu, względnie jednorazowego odstrzału na zimowem polowaniu. Proszę o podanie ceny ryczałtowej lub płacimy za każdy oddany strzał do dzika, wilka lub rysia. Reflektujemy na 3 — 6 dniowe polowanie. Koszta osobno. Bliższe szczegóły, rezultaty ostatnich lat do Redakcji „Łowca Polskiego" pod „gruby zwierz". Reflektujemy tylko na pierwszorzędne łowiska.